

POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA +

MIESIĘCZNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

Przeczytaj uważnie ogłoszenie na stronie 32 i okładce!



POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA



Nr 2 1951 Rok VI

POWRÓT

Nie zdołamy przeniknąć zasłony, jaką Ewangelia okryła pobyt św. Rodziny w Egipcie, chociaż tak bardzo chcielibyśmy rozszerzyć nasze wiadomości o życiu Jezusa i zaczerpnąć pełną garścią sił z wzniosłych przykładów Matki Najśw. i św. Józefa, którymi na pewno obfitowały chwile wygnania. Wszystkie rozumowe dociekania na ten temat będą tylko mniej lub więcej trafnymi domysłami. Niemniej jednak, będą one miały swoją wartość dla życia duchownego, o ile będą podjęte z odpowiednią intencją. Jak wyglądało życie św. Rodziny w Egipcie?

Ile bólów i trosk nawiedziło ściany jej skromnego mieszkania? Jak długo byli skazani na tęsknotę za ojczyzną? — Na to wszystko Ewangelista rzucił cień tajemnicy. Po krótkiej notatce o rozkazie ucieczki do Egiptu i jego natychmiastowym wykonaniu przez św. Józefa, opisuje św. Mateusz wypadki, jakie zaszły w Judei po wyjściu św. Rodziny. A następnie bezpośrednio przechodzi do opisu powrotu do Ziemi świętej. Tak oto opisuje to zdarzenie: „A gdy Herod umarł, oto Anioł Pański ukazał się we śnie Józefowi w Egipcie, mówiąc: Wstań a weźmij Dziecię i Matkę Jego, a idź do ziemi izraelskiej. Albowiem pomarli którzy duszy Dziecięcia szukali. Który wstawszy, wziął Dziecię i Matkę Jego, i przyszedł do ziemi izraelskiej. A usłyszawszy, iż Archelaus królował w Żydowskiej ziemi zamiast Heroda, ojca swego, bał się tam iść, a napomniany we śnie, ustąpił w strony Galilejskie. A przyszedłszy mieszkał w mieście, które zowią Nazaret, aby się wypełniło, co rzeczone jest przez proroki, iż Nazarejski będzie zwany"' (Mt. II, 19-23).

Znowu podobnie jak przed zaślubinami w Nazaret, podobnie jak przed ucieczką w Betlejem, ukazuje się anioł św. Józefowi w Egipcie i ostatni raz w ziemi judzkiej. Znowu ta sama roztropność cechuje zachowanie się św. Patriarchy, jak poprzednio. W tym świetle stają przed naszymi oczyma wszystkie jego zalety. Z jaką cierpliwością czeka w obcej ziemi na zapowiedziane przez anioła wezwanie do powrotu? Z jaką skwapliwością przesyconą duchem posłuszeństwa, ufnością i poddaniem się woli Bożej, wykonuje rozkaz anioła Nie ma u niego wahania. Rozkaz anioła jest zawsze dla niego niezawodną normą postępowania i nigdy się od niej nie odchyli. Jak bez zwłoki opuścił Betlejem, tak bez zwłoki opuszcza nizinne brzegi Nilu, by wrócić z Jezusem i Jego Przenajświętszą Matką do Ziemi świętej. „Który wstawszy wziął Dziecię i Matkę

jego i przyszedł do Ziemi izraelskiej".

Lecz tu wtargnęła do jego serca, tak bardzo dbałego o bezpieczeństwo i błogi pokój Syna Bożego, obawa przed Archelausem synem okrutnego Heroda, czy i on przypadkowo w swej żądzy panowania, nie pokusi się za przykładem ojca o usunięcie z drogi domniemanego „pretendenta tronu". W głębokim poczuciu odpowiedzialności swego obowiązku otoczenia Jezusa i Maryi najczulszą opieką, instynktownie wyczuwa on niepewność sytuacji. I rzeczywiście słuszność obawy potwierdza nowe ukazanie się anioła we śnie, który go napomina, aby się udał do Galilei, gdzie się znajdowało rodzinne miasteczko Matki Najśw., Nazaret. Ewangelista w tym zarządzeniu Bożym dopatruje się głębszych racji, a mianowicie spełnienia się proroctwa Izajasza, że Mesjasz „Nazarejski będzie zwany" (Mt. II, 23).

Minęły ciężkie chwile tułaczki na obczyźnie. Jakaż radość, a zarazem wdzięczność za otrzymaną od Boga pomoc, musiała się przelewać przez duszę św. Opiekuna, gdy prowadził z powrotem Jezusa do ukochanej ojczyzny, gdy mu pokazywał drogie sercu każdego Izraelity pamiątki, gdy mijał dawne pomniki świetności wybranego narodu. Ale największym powodem radości dla niego musiało być to, że ocalił swój bezcenny skarb od okrutnej śmierci, że mimo cierpienia i niewygody zniesione, znajduje się znowu wraz z Jezusem wśród swoich. Całe to zdarzenie dokonało się cicho i bez rozgłosu. Nikt nie zwracał uwagi na fakt, że jakiś tam cieśla Józef, po dłuższej z pewnością zarobkowej tułaczce, powrócił znowu do rodzinnego miejsca wraz z małym dzieciątkiem i małżonką. Nikt nie przeczuwał, nikt się nie domyślał kim jest to Dziecię Jezus, które „jak mniemano było synem Józefa" (Łk. III, 23). Nie zadrżała radością ziemia, gdy na nią wstępowały drobne stopy Jezusa, nie podskoczyły w nabożnym uniesieniu góry i pagórki, nie zatrzymały się w podziwie błękitne wody Jordanu, nie padły przed Nim w pokorze mury Jerycha, jak niegdyś przy wejściu Izraela do tejże Obiecanej Ziemi. Nie poznała „Obiecana" „Obiecanego". Nikt z mieszkańców tej ziemi nie złożył podzięki biednemu cieśli, że uszczęśliwił ziemię wracając jej najcenniejsze skarby — Jezusa i Maryję. Cała tajemnica pozostała w gronie tych trzech istot kochających się wzajemnie miłością najwyższą, miłością czystą, miłością Bożą.

Tak mniej więcej przedstawia się powrót św. Rodziny z Egiptu do Nazaret. A na tle tych wypadków „postać św. Józefa, jak cień przesuwa się cicho, z zupełną ofiarą swojego „ja", a jednak uwydatnia się życiowo w energii, zmyśle praktycznym, w świadomości swej roli, delikatności i słodyczy. Dusza to owładnięta pokojem szlachetnym, nie wychodząca z siebie wśród burz i przemian; umysł nie badający nazbyt ciekawie wyroków Bożych, ale poddający się im i ufający Panu. Św. Józef jest wcieleniem bezinteresowności, najlepszym typem życia, które wciąż należy do drugich. Pięknie o nim powiedziano, że jest wobec Jezusa jak zakrystian, któremu zwierza się Sanctissimum, choć on sam tabernakulum nie otwiera"[1]).

* * *

Nawet najbardziej harmonijne kształty, jeśli się w nich nie przejawia pierwiastek życia nie mogą się zwać w pełnym tego słowa znaczeniu pięknem. Nawet najurodzajniejsza ziemia, jeśli jej nie nasyci od czasu do czasu rzęsisty deszcz nie przyniesie plonu. Nawet najpiękniejsza kraina, jeśli będzie

---

[1]) X. Arcyb. Teodorowicz: »Od Betlejem do Nazaretu«, str. 248.

cała bez przerwy zasypana śniegiem i okuta twardą lodową skorupą, nikogo swą malowniczością nie zachwyci i do osiedlenia nie pociągnie. A czymże jest dusza w stanie grzechu? nie harmonijnym li tylko kształtem bez życia? Nie ziemią spieczoną upałem, na którą już od dawna nie spadła ani kropla deszczu Czy nie jest podobną do białych polarnych pól, na których próżno szuka się życia? Być może, że nawet z powyższymi podobieństwami dusza zeszpecona grzechem niewiele ma wspólnego. — W każdym jednak razie duża analogia zachodzi pomiędzy Ziemią Świętą w czasach panowania Heroda, a duszą skażoną grzechem. I tam przyszedł Jezus i tu przyszedł. Tam przez swe Wcielenie i Narodzenie, tu przez łaskę na Chrzcie św. Tam musiał uchodzić przed Herodem, tu przed grzechem. I tam pozornie nic się nie zmieniło i tu życie płynie, jak się wydaje, normalnym trybem. Tymczasem i tam, i tu, zaszło straszne nieszczęście, nieszczęście przerastające swym ogromem pojęcie człowieka. Mniejsza zresztą o analogię, chodzi przede wszystkim o wyciągnięcie odpowiednich korzyści dla życia duchownego z tajemnicy powrotu Jezusa z Egiptu do Nazaret.

Pomimo, że Ewangelia św. tak mało mówi nam o św. Józefie, to jednak w opisie powyższej tajemnicy, jego właśnie działalność wybija się na pierwsze miejsce. Jemu ukazuje się anioł i każe wracać, w jego sercu powstają wątpliwości co do bezpieczeństwa w ziemi judzkiej, jego napomina anioł, żeby się usunął do Galilei.

Stąd możemy wysnuć wniosek, że św. Józef i dziś, podobnie jak za swego życia na ziemi, gorąco zabiega o to, aby wyrugować z duszy upodobanie do grzechu wraz z jego nieszczęsnymi skutkami, by wyszukać tam bezpieczny kącik, takie zaciszne Nazaret i wprowadzić na powrót do dusz Jezusa. — I rzeczywiście wniosek nasz potwierdzają liczne przykłady z życia grzeszników, którzy dzięki św. Józefowi powrócili do źródła życia, rzeczywiście św. Józef wprowadził w ich dusze na nowo Jezusa. Wniosek ten potwierdzają również wypowiedzi świętych. Weźmy na przykład św. Teresę z Avila, która powiada, że: „innym świętym, rzec można, dał Bóg łaskę wspomagania nas w tej lub owej potrzebie, temu zaś chwalebnemu Świętemu, dał władzę wspomagania nas we wszystkich" (Św. Teresa „Życie" VI, 6).

A więc i w tej tak ciężkiej potrzebie, jaką jest brak życia Bożego w duszy, wspomoże ją św. Opiekun i wprowadzi do niej wygnanego niegdyś sromotnie Jezusa. Tak trudno zerwać z grzechem, zwłaszcza jeśli się w nim żyło dłuższy czas. Tak trudno zdobyć się na upokarzające wygnanie go na spowiedzi, lecz kto się w tych kłopotach uda do św. Patriarchy nie dozna zawodu. W jego duszy zatętni na nowo życie łaski, kształt zostanie ożywiony, twarda skorupa spieczonej ziemi spulchnieje, by ziarno słowa Bożego zapadłszy w nią przyniosło owoc stokrotny. Spłyną śniegi, pękną lody, zakwitną kwiaty, zaśpiewa ptaszyna, w lodowatej krainie wiosna obudzi nowe życie. Do serca zawita pokój i radość, że Jezus wrócił, że Przenajświętsza Matka i św. Józef czuwają nad Jego bezpieczeństwem.

Jerzy Górski

POKORNA A WIELKA SŁUŻEBNICA

„A ktoby Kościoła nie słuchał niechaj będzie jako poganin lub celnik".

Postać Maryi ofiarującej Chrystusa w świątyni jerozolimskiej — to wspaniały przykład posłuszeństwa wobec przepisów kościelnych.

Chrystus Pan nie tylko ustanowił i wyposażył Kościół Swój w nieocenione skarby, ale rzucił jasne, wyraźne rozkazanie posłuszeństwa wobec Kościoła.

W dniu 2 lutego stajemy wobec pięknej postaci Maryi. Nie jaśnieje Ona dzisiaj chwałą niebieskiego królowania, ani nie jest okryta nimbem Swego Niepokalanego Poczęcia; jest cicha i mała, tak bardzo mała i tak bardzo ludzka. Widząc Ją w dniu ofiarowania nikt by nie przypuszczał, że ta prosta, zwykła uboga kobieta z ludu jest Matką Bożą i przyszłą Panią Wszechświata. Żadne święto Maryjne nie przedstawia nam Najświętszej Panny w postaci bardziej ludzkiej, bardziej prostej. Dlatego też żadne Jej święto nie zbliża nas do Niej doskonalej.

W tłumie tylu niewiast izraelskich Maryja niczym się nie wyróżnia, chyba bardziej pokorną postawą i większą urodą. Stoi Maryja pokorna i cicha, ale ta pokora i cichość czynią Ją dumną po Bożemu i sławną na całej ziemi. Możemy powiedzieć, że gdyby nie było dnia ofiarowania z Maryjną pokorą i prostotą, nie byłoby też dnia Wniebowzięcia. Gdyż pokora Maryi jest źródłem Jej chwały. Szary, zatracony w bezliku dni dzień ofiarowania przez Maryję Jezusa miał zrodzić wspaniały, sławny dzień Jej Wniebowzięcia. Pokora Maryi szła w parze z posłuszeństwem. Pokora jest matką posłuszeństwa. Posłuszna była Maryja przepisom Zakonu Mojżeszowego przynosząc do ofiarowania Pierworodnego i Jedynego, a jako ofiarę na świątynię parę synogarlic, gdyż biedna była ze św. Józefem. Maryja wiedziała, że Ten, Którego ofiarowuje jest Panem Zakonu, iż jest On Synem Bożym; wszak słyszała słowa Archanioła: „Oto... porodzisz Syna... który Synem Najwyższego będzie zwany..." i śpiew anielski nad stajenką w chwili Narodzenia: „Gloria in excelsis Deo"... Mimo to doskonale posłuszna spełnia przepis Zakonu.

„A ktoby Kościoła nie słuchał, niechaj będzie jako poganin lub celnik".

Zastanówmy się, jaki jest nasz stosunek do Kościoła; czy opiera się on na zasadzie bezwzględnego **posłuszeństwa w rzeczach wiary** i obyczajów, czy też na daleko posuniętym liberaliźmie w wykonywaniu jego przepisów. Matka Najśw. była posłuszna prawu Mojżeszowemu, chociaż wiedziała, że jest ono kruche i tak bardzo ludzkie. Maryja wykonywała rozkazy rządców synagogi, chociaż byli nimi często faryzeusze, ludzie, którzy mieli w przy-

szłości powiesić Jej Syna na krzyżu. Maryja była doskonale posłuszna, gdyż wiedziała, że o wartości etycznej i nadprzyrodzonej prawa nie decyduje wartość etyczna tego, który je wydał. Stąd i my powinniśmy pamiętać, że przykazania kościelne i przepisy Kościoła święte są, chociażby kapłani nie odznaczali się świętością. Jest tak dlatego, że właściwym autorem praw Kościoła jest sam Bóg. „Oto Ja jestem z wami, aż do skończenia świata". W każdym przykazaniu kościelnym jest pieczęć Boża, pieczęć Ducha św.

Jakżeż odwrotny od Maryjnego jest nasz stosunek wobec przepisów Kościoła, jak mało posłuszeństwa, a jak dużo buntu! Są ludzie, którzy posłuszeństwo wobec Kościoła uważają za wstydu godną rzecz, za hańbę, za przeżytek i wstecznictwo.

Ileż to zawsze było krytyki z urządzeń i przepisów Kościoła! Ile prześmiechów, ironii, kpin z jego konserwy i nieugiętości. Ilu reformatorów, którzy najczęściej napiąć pragną prawo Kościoła do swoich osobistych interesów. Kościołowi coprawda kpiarstwo i ataki otwarte nie zaszkodzą; jest on w swych prawach niewzruszony i wieczny, jak niewzruszony i wieczny jest Bóg.

Brak jest tym ludziom pokory, tej cnoty, kóra czyni człowieka mądrym i wielkim.

W pięknym dniu pokory Maryi przystąpmy do „Stolicy Łaski" i zaczerpnijmy od Niej, jako Stolicy Mądrości i Pani Największej tę mądrość chrześcijańską, którą rodzi pokora i stańmy się wielkimi uniżając się.

Z. Z.

Z EWANGELIĄ W RĘKU

TABOR

Jezus wziął Piotra, Jakuba i Jana, brata jego i zaprowadził ich na górę wysoką na uboczu. I przemienił się przed nimi i rozjaśniło się oblicze Jego jako słońce, szaty zaś Jego stały się białe jak śnieg. I oto ukazali się im Mojżesz i Eliasz rozmawiający z Nim. A odpowiadając Piotr rzekł do Jezusa, Panie dobrze nam tu być, jeżeli chcesz uczynimy tu trzy przybytki: Tobie jeden, Mojżeszowi jeden i Eliaszowi jeden. Gdy On to jeszcze mówił, oto obłok jasny okrył ich, i oto głos mówiący: To jest Syn mój miły, w którym upodobałem sobie, Jego słuchajcie. A słysząc to uczniowie Jego, padli na oblicze swoje i zlękli się bardzo. I przystąpił Jezus i dotknął ich i rzekł im: wstańcie, a nie lękajcie się. A podniósłszy oczy swe nikogo nie widzieli, jeno samego Jezusa. (Mat. XVII, 1—8).

* * *

Jezus opuścił dolinę, by udać się z umiłowanymi uczniami na samotność. Szli na górę Tabor, górę „Świętą", a im wyżej się wznosili, tym szersze otwierały się horyzonty przed nimi. Było to w sierpniu, a w tej porze niebo jest zawsze pogodne, a gorące słońce spala mgły i opary unoszące się nad morzem. Dokoła widać wspaniałe łąki, szare ugory, a nad nimi białe skały. Gdzieniegdzie na ich tle ukazuje się zieleń zarośli. — W takiej porze wychodzi się z domu dopiero przed zachodem słońca.

Tabor wznosi się samotny, przeszło 600 m. wysoki w kształcie spłaszczonej piramidy, stoki jego pokryte są dębami, wśród których wije się droga. Ze szczytu widać całą Galileę, a w dali na północ wyłaniają się szczyty Libanu. Na zachód czaruje wzrok morze pełne spokoju i barw, a na wschód błyszczy wstęga Jordanu. Tam na tym szczycie w gwiaździstą noc sierpniową popłynęła do Ojca Niebieskiego najwznioślejsza modlitwa Jednorodzonego Syna. Nie dotrwali w niej Apostołowie, strudzeni drogą zasnęli.

Obudził ich niezwykły blask, ujrzeli Jezusa przepromienionego, usłyszeli głos Ojca i przerażeni padli na oblicze, ich grube natury nie mogły znieść wizji niebiańskiej, a jednak odczuli szczęście, nieziemskie, jakiego zawsze doznaje człowiek, gdy Bóg da mu odczuć swoją bliskość.

Kościół święty dwukrotnie czyta nam tę Ewangelię, raz 6. sierpnia w dzień Przemienienia, a drugi raz w II niedzielę W. Postu, by nas wzmocnić na przeżywanie tragedii Kalwaryjskiej. Nie chcąc w niczym obniżyć znaczenia krzyża, podkreśla ważność radości i szczęścia w życiu chrześcijanina. Bóg jako najlepszy wychowawca zwykle do wielkich cierpień przygotowuje przez wielkie podniesienie ducha, najpierw każe iść na Tabor, a potem do Ogrojca i na Golgotę.

Kiedy w kółku rodzinnym czytamy i rozważamy tę Ewangelię, budzą się w nas pragnienia, by wszystkim w domu było dobrze, by i nasi najbliżsi doznać mogli szczęścia płynącego z żywego poczucia obecności Bożej, byśmy się do tego mogli przyczynić. Sama radość jest owocem działania Ducha Świętego, ale dużo bardzo zależy od naszego nastawienia, a to znowu od atmosfery, w której żyjemy. Taką atmosferę stwarza życzliwość do ludzi i wiara silna, że wśród nas jest Bóg. Tajemnica Taboru dotyka najdelikatniejszej strony życia naszego, stosunku do łaski.

Długie wieki podkreślano prymat doskonałości zdobytej własnym wysiłkiem, dopiero rozczytywanie się w dziełach św. Jana od Krzyża i w Listach św. Pawła zwróciło uwagę ogółu wiernych na mieszkanie Trójcy Świętej w duszach. Życie Bogiem i w Bogu niezrozumiałe jest dla tych, co tylko uznają „szkiełko mędrca", ale jasne jest dla wierzących i kochających. Trzeba by dusza była tą łaską zaczyniona, by wszystko czyniła nie tylko dla Boga ale z Bogiem, prowadzona natchnieniem Ducha Świętego. Nie zmieniając nic w trybie pracy naszej, w czynnościach zewnętrznych przy tejże pracy, w stosunkach z ludźmi, na modlitwie, w zgiełku i samotności, zawsze utrzymuje związek z praźródłem naszej świętości. Tak pojęte czynności potęgują to życie Boże w duszy.

Trzeba tylko z naszej strony dwóch rzeczy: wiary i dobrej woli. Chrzest święty wszczepił zaród wiary; nauka prawd Bożych, modlitwa i Sakramenta święte ściągają łaski rozwijające zaród w potężne, silne drzewo. Ta wiara uczy o obecności Boga w duszy, ta wiara ukazuje nam Jezusa zarówno w blaskach Taboru, jak i w cieniu krzyża. Ta wiara każe nam widzieć w bliźnich ukochane dzieci Boże, ona zgina nasze kolana przed Tabernakulum i schyla głowy przed autorytetem Ojca Świętego w Kościele. Ta wiara skłania do ufności w słodką Opatrzność Bożą, która pamięta i o najlichszym robaczku. Ta wiara rozpala miłość i radość, jakiej doznali Apostołowie na górze Tabor.

Czy nie za mało staramy się rozwijać w życiu tę wiarę i umacniać ją? a jednak bez niej nie obejmiemy Boga, nie możemy odczuć szczęścia Taboru. Wiara nie sprzeciwia się rozumowi, ale go uskrzydla i duszy nadaje namaszczenie. I dlatego, jeżeli chcemy, by dom nasz uszczęśliwiał, by stał się bezpieczną przystanią, dbajmy o ducha wiary i nie zagłuszajmy go przez nasze wady.

W rodzinach katolickich i wierzących zdarzają się różne niedociągnięcia, które odpychają nieraz od wiary. Do takich należy bezduszność, ciemnota, fanatyzm, ciasna dewocja, przywiązywanie wagi do formułek trzeciorzędnych, egoizm duchowy, który tylko szuka własnej przyjemności, wynie-

sienia lub interesu w samej religijności. Wiara to otwarcie duszy na najszersze i najdalsze horyzonty, to otwarcie duszy dla Boga. A Bóg jest nieogarniony, szeroki, wielki w swych poczynaniach, a zarazem wyrozumiały w stosunku do naszej słabości. On nie zatrzymuje się na drobiazgach, ale patrzy dalej i głębiej, wymaga rozmachu w miłości i odwagi. A my — jak mówi św. Teresa od Jezusa — drepcemy jak kurczątka zamiast szybować jak orły, bo nas wiążą różne przywiązania do głupstw, do różnych wytworów własnego ciasnego umysłu.

Matka, ojciec nie powinni zatrzymywać się na tych drobiazgach i nie robić piekła o nie, bo te nieporozumienia, które przybierają nieraz bardzo bojową formę odstraszają domowników. Nie należy gwałtem naginać wszystkich do jakichś formułek dewocyjnych, do nowenny, obrazka, figurki, czyjegoś objawienia, bo w tym nie leży istota wiary. W dzisiejszych czasach ogólnego pędu do wiedzy, czasach wykazujących potrzebę logicznego rozumowania należy operować tym, co istotne, a to jest tak wielkie, że zaczyni wszystkie nasze władze duszy i wprzągnie je do „Credo".

Trzeba poznać Boga, aby tym poznaniem zaprawiać nasze rozmowy, tym karmić wyobraźnię i swoją i drugich. — Duch wiary wymaga nastawienia się na Boga, mieć Jego za cel życia i naszych poczynań, naszych uczuć i pragnień, ku Niemu kierować swe myśli i na Jego miarę organizować nasze życie. Dziękować Mu zarówno za uśmiech, jak za łzę bólu, wciąż się pytać siebie, czy nie za mało daję? czy nie za ciasno myślę? Iść naprzód mimo upadków, po akcie żalu zaczynać na nowo ze zdwojoną energią, wciąż patrzeć w Tabor, w Przemienionego Jezusa, wierząc, że i nas to czeka.

Tajemnicę Przemienienia przeżywamy przy każdej dobrej modlitwie, jeszcze intenzywniej przy każdej Mszy świętej i Komunii świętej i w ten sposób przez całe życie przygotowujemy się do ostatniego przemienienia w godzinę śmierci. Idziemy do Boga, do Ojca... Oto co daje życie wiary, a na tych wyżynach ducha bledną nasze kłopociki i drobiazgi. Co więcej blask Taboru oczyszcza nasze dusze i całą atmosferę domu, z tego, co niskie, przyziemne, brudne. „A szaty Jego stały się białe jako śnieg".

Takie nastawienie daje zapał do pracy tak indywidualnej jak społecznej, jednym zaś z najskuteczniejszych środków rozbudzenia takiej postawy jest czytanie i rozważanie Ewangelii. Znamy porywający wpływ lektury, postać bohatera pociąga na długo naszą wyobraźnię, a za nią uczucia i wolę. W Ewangelii bohaterem jest Syn Boży, który nie tylko budzi zachwyt naszego umysłu i serca, ale daje życiodajną moc woli, by szła za tą jasnością. W dobrej więc czy złej doli nauczmy się tam czerpać sił, ale czytać trzeba ze skupieniem, z wiarą, że to słowo Boże, a odczujemy szczęście Taboru i każdy, kto się z nami zetknie powie: „dobrze nam tu być".

S. BARBARA ŻULIŃSKA

Sprawy redakcyjne jak np. artykuły, fotografie, listy do redakcji kierować na adres: Redakcja „Pod Opieką św. Józefa" Kraków, ul. Rakowicka 18.

Pieniądze prenumeraty za numery do grudnia 1950 r. przesyłać na Konto: Wydawnictwo Karmelitów Bosych Kraków IV-842/115.

Zamówienia oraz opłatę miesięcznika od stycznia 1951 r. prowadzi wyłącznie Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch" P. K. O. Kraków — Dział Prenumeraty Pocztowej, Wydawnictwo Religijne i Naukowe Nr IV-9451/110.

NATURA I ŁASKA

Ku doskonałości! Mamy coraz lepiej poznać Boga i świat w Bogu i mamy Boga i świat w Bogu coraz lepiej kochać. Rezultatem tego będzie coraz większe nasze upodobnienie do Boga. Oto cel, dla którego zostaliśmy stworzeni.

Pięknie! Ale człowiek i Bóg — to nietylko dwie rodzajowo zupełnie odmienne istoty, ale ponadto dzieli je różnica tak olbrzymia, że jej nawet wyobraźnią ludzką nie można ogarnąć. Bo różnica między człowiekiem a Bogiem to nie jest tylko różnica gatunkowa, w rodzaju tej, jaka dzieli np. roślinę od zwierzęcia, a zwierzę od człowieka, powiększona, powiedzmy, do jakichś olbrzymich rozmiarów, ale to różnica zupełnie jeszcze innego rodzaju. Przyrównać by ją można conajwyżej do tej różnicy, jaka istnieje pomiędzy człowiekiem a wykonanym przez niego narzędziem, maszyną, domem, suknią lub napisaną przez niego książką, czy utworem muzycznym, namalowanym obrazem lub wyrzeźbioną figurą. Twórca i rzecz stworzona

Tylko to jeszcze mało, bo człowiek właściwie nigdy w pełni nie stwarza — tylko przetwarza — co prawda nieraz genialnie — zastany przez siebie surowiec: materialny i duchowy (myślowy). Ponadto dzieło przez niego utworzone jest zawsze tylko rzeczą nieożywioną. Bóg zaś stwarza w pełni, bo stworzył surowiec i wyprowadza zeń istoty żywe. Przyroda nieożywiona, rośliny, zwierzęta, ludzie, aniołowie — to są różne, bardzo różne kategorie istnień, bytu. — Ale są one sobie pokrewne właśnie tym stworzonym sposobem swego istnienia. Podczas gdy Bóg... Bóg to nie jest jeszcze jedna więcej kategoria bytu. Bóg stoi ponad tymi wszystkimi kategoriami, on je stworzył, on jest ich Panem, one w zupełności, całkowicie od niego zależą.

I oto teraz ta ograniczona istota, jaką jest człowiek, ma się upodabniać do swego Stwórcy! Jak to jest możliwe?

Stwierdzić trzeba na wstępie, że jest to rzecz przekraczająca całkowicie siły ludzkie — o ile byłyby one przedstawione same sobie. Już nawet sam ten pomysł nie mógłby się zrodzić w umyśle ludzkim, bo jest on na to zanadto ograniczony. Przedstawiony mu z zewnątrz miałby w sobie coś z zuchwalstwa, przypominającego owo szatańskie: „Staniecie się jako bogowie!“ — rzucone przez szatana pierwszym rodzicom — gdyby nie to, że Bóg sam zaofiarował człowiekowi, którego nawet wręcz do tego celu stworzył. Szatan ten pomysł pochwycił i wykoszlawił. W rzeczywistości zaś zrodził się on z niepojętej miłości Boga do człowieka, miłości, przed którą milknie w podziwie mowa ludzka. Ponieważ zaś jest to rzecz tak przekraczająca możliwości ludzkie, Bóg — który jednak dziw ten postanowił — daje człowiekowi i siły i środki do jego zrealizowania.

Pomińmy tu — z braku miejsca — pierwotny boży plan realizacyjny. Nie doszedł on do skutku, bo — o rzeczy niepojęta! — człowiek, istota wolna, plan ten odrzucił. Adam zgrzeszył i utracił przez to sam — a w nim cały rodzaj ludzki — te początkowe możliwości, jakie Bóg dał naturze ludzkiej, w upodabnianiu się do Siebie. Ale i dziś możemy — choć z większym trudem — cel ten mimo wszystko osiągnąć. A jest to możliwe — powiedzmy to tu jednym zdaniem — dzięki krzyżowej zasłudze Chrystusa.

Jakaż jest więc dziś nasza sytuacja w zakresie upodabniania się do Boga? W jaki sposób możemy osiągnąć ten nasz nadprzyrodzony cel życiowy? Zanim go przypomnę, niech mi będzie wolno posłużyć się pewnym porównaniem.

Powiedzmy, że jakiś genialny uczony, mając miłego sobie i sprytnego zwierzaka, oraz żałując, że nie może on czytać dzieł swego pana, dyskutować z nim o nauce i sztuce, chciałby coś zrobić, by ten czworonóg mógł jednak

choć w pewnym stopniu zrealizować to pragnienie. Cóż by taki uczony musiał zrobić? Nic innego, jak go w pewnej mierze uczłowieczyć, tj. wszczepić weń coś z rozumu ludzkiego. Śmiejemy się może z tego porównania, wiedząc że to rzecz niewykonalna, bo przekraczająca możliwości uczonego, nawet przy dzisiejszym poziomie wiedzy i mimo nieprawdopodobnych wprost nieraz cudów techniki operacyjnej.

A jednak...

A jednak Bóg posiada taką moc, by w naturę ludzką wszczepić coś ze swej natury boskiej, tak by ta natura ludzka mogła upodabniać się do Boga, by z Nim mogła współżyć przez poznanie i miłość.

„Chwała i dziękczynienie"... to jedno, co rzec można wobec tak niepojętego dobrodziejstwa bożego.

Mały człowieku! — oto twój program życiowy: rozwijać w sobie życie boże! Czyś do niego dorósł? Ach, ktoś, kto by patrzył na to, gdzieś może z góry z jakiejś gwiazdy zaświatowej zastygłby chyba w przerażeniu, widząc, jak ci ten program ciąży, jak się odeń uchylasz, jak odeń uciekasz! Upodabniać się do Boga?! Wspinać się na szczyty boże — — to za wielki dla ciebie wysiłek, ta perspektywa wcale cię — o ironio — nie zachwyca!

A jednak są śmiertelnicy, którzy się na to ważą. Ci, którzy zachwycili się taką karierą i stawiają na nią całą stawkę swego życia Przyjmują radośnie, acz w pokorze, podaną sobie dłoń bożą i idą w górę. I wielu ich już doszło. Nie jest to więc rzecz przekraczająca siły ludzkie.

A ta dłoń boża nie skąpi pomocy. — Udziela człowiekowi — byle tylko poddał się jej działaniu — nowego życia. Bóg zaszczepia w naturę ludzką własne życie w postaci łaski poświęcającej. — I ona to sprawia, że człowiek zdolen jest piąć się w górę, że dąży ku doskonałości, że bóstwicje!

Uczono nas od dzieciństwa, że łaska — to dar. Tak, niewątpliwie to dar nad dary. Ale to określenie mówi nam tylko o sposobie w jaki dana nam jest łaska, mówi że otrzymujemy ją darmo, że jest ona niezasłużonym darem. Nie mówi jednak czym jest łaska sama w sobie, a to właśnie jest najważniejsze i najbardziej zajmujące. Łaska — jak mówią teologowie — to „coś z natury bożej". Co? To tajemnica. Nie wiem czy jest ktoś, kto to jaśniej wytłumaczył? Tajemnica, przed którą człowiek staje zdumiony. Nie wierzyłby prawie, gdyby nie to, że rozumie, iż tak być musi, że innego sposobu nie ma, że jak zwierzę musiałoby otrzymać coś z natury ludzkiej, by móc pełnić czynności, przysługujące tylko człowiekowi, tak i człowiek musi otrzymać „coś z natury bożej", by móc poznawać i kochać w pewnej mierze tak, jak Bóg poznaje i kocha.

Podziwiać przy tym nam trzeba delikatność działania Bożego Ogrodnika. Nie niszczy on, ani nie okalecza natury ludzkiej, zaszczepiając w nią swe boskie, tak bardzo niewspółmierne dla naszego — życia. Tak już bowiem przedziwnie stworzył naturę ludzką, że ona zdolna jest przyjąć łaskę bez unicestwienia się przy tym. Między człowiekiem a Bogiem powstaje tajemnicza symbioza, której przebieg istotny poznamy w pełni dopiero w niebie.

Nie skąpić też wysiłku, by im otworzyć oczy na fakt, którego nie są może świadomi, lub którego nie doceniają. Głośmy, gdzie trzeba, cud bożej hojności! Ale nie zapominajmy o nim i w stosunku do samych siebie. Kruchym jesteśmy naczyniem, w którym bezcenny skarb złożony! Gdy go utracimy dobrowolnie i Bóg sam nam go nie zwróci. Bo Bóg nie stosuje gwałtu do duszy. Daje, ale nie przymusza. Chrońmy więc skarb łaski w duszy, choćby kosztem największych wyrzeczeń.

Łaska jest więc bożą pomocą, więcej, bożym współudziałem, dzięki któremu możemy doskonalić naszą naturę. Bylebyśmy tylko nie stawiali jej oporu, nie budowali tamy grzechowej przeciwko niej, wzrastać ona będzie w duszy naszej, jak rajskie drzewo z nasiena, przemieniać nas, ulepszać, doskonalić, przebóstwiać. Nie sama tego dokona, lecz wespół z nami i nie gdzieś poza

światem, poza aktualnym naszym życiem, ale w świecie i w życiu, bo takie jest już założenie Boże, że nie w kurzawie gwiazd, nie wśród planet i obłoków, ale na ziemi mamy wykuwać nasz wieczny los żyjąc w rodzinach, w państwie, w pracy, a nawet w zabawie. Wzrost lub zanik łaski dokonuje się w nas każdej chwili. Oby rosła ona na glebie naszej duszy i wydała stokrotny plon! Od nas to zależy. Bóg dopomoże!

FELICJA ŻUROWSKA

Spowiedź — nieznane źródło radości

Człowiek jeden spośród stworzeń rozumnych pojmować może prawdę, pragnąć dobra i zachwycać się pięknem. Pierwiastki te stanowią istotny pokarm jego ducha i zadowolenie. Toteż wie człowiek doskonale, że na tej drodze idealnego dobra, prawdy i piękna leży skarb szczęścia. Wszystkie dążenia ludzkie możemy sprowadzić do pogoni za dobrem, prawdą i pięknem. Czegoś przeciwnego albo w czym by się te dobra nie mieściły, nie może pożądać człowiek. Jeśli w rzeczywistości, podług obiektywnego sądu, pragnie zła, to zawsze widzi je ubrane przynajmniej pozorami dobra. Jeśli mówi kłamstwo, to w obronie jakiejś prawdy, którą pragnie ukryć. Jeśli czyni nieładnie, to dlatego, że przez ten czyn pragnąłby zaprowadzić swój wymarzony ład. Dopiero doświadczenie skutków swych czynów, a jeszcze wcześniej poczucie moralne, zdziera maskę z upozorowanego dobra. Wobec takiego odkrycia człowiek nie może nie odczuwać w sobie smutku wywołanego poczuciem, że idąc taką błędną drogą za urojonym dobrem oddala się istotnie od szczęścia. Prawdziwej radości zazna dopiero wtenczas, gdy zawróci i wejdzie na drogę rzeczywistego dobra.

Grzech właśnie jest ułudnym dobrem, sfałszowaną prawdą i pobielaną brzydotą. Jest przeto praźródłem wszystkich udręk ludzkich. Katolicka spowiedź posiada przedziwną moc zawracania człowieka z nad rowów brudnej wody ku źródłom prawdziwej radości i zdrowia duszy.

Czy grzech rzeczywiście nas unieszczęśliwia i czyni smutnymi? Zobaczmy. W każdym człowieku, który dochodzi do używania rozumu rozwija się równocześnie wrodzona zdolność oceniania swych czynów pod kątem dobra lub zła. Nawet małe dziecko, choćby go nawet nikt nie uświadamiał, spostrzega po pewnym czasie, czy jego czyny są zgodne czy niezgodne z jego poczuciem wewnętrznym tego co powinno być i jak się powinno dziać. W jego umyśle zarysowany jest już z góry pewien porządek i ten porządek spostrzega stopniowo w świecie go otaczającym. Gdy więc coś „zbroi“, kryje się z tym, wstydzi się i boi. Na twarzy jego rysuje się smutek będący odbiciem zakłócenia równowagi ducha. Każdy przeto człowiek przychodzi na świat ze zdolnością poczuwania się do winy i grzechu, którą snadź wlał mu sam Stwórca.

Gdy wola narzuca rozumowi wyznającemu stałe zasady, by przyjął w praktyce coś co jest tylko upozorowanym dobrem a w istocie jest z nim sprzeczne, następuje wtedy rozdwojenie we wnętrzu naszym i spór między rozumem teoretycznym a praktycznym. Rozum w wyższych funkcjach swoich nie wyrzeknie się nigdy swej niezależności w zasadach, będzie często protestował przeciw zadanemu mu gwałtowi, będzie sądził nas, oskarżał i nie zamilknie, aż jego żądaniom stanie się zadość. Tę zdolność

przyrodzoną odczuwania dobra i zła moralnego nazywamy słowem: sumienie. Sumienie to nie wytwór kultury, nie owoc wychowania czy życia społecznego, choć te czynniki kształtują w nas sumienie, wydelikacając je lub przytępiając. Sumienie to nieoddzielna od naszej natury rozumnej doskonałość, tak nieśmiertelna jak nieśmiertelna jest dusza.

To właśnie sumienie informuje nas o wartości moralnej czynów naszych a w razie popełnienia grzechu alarmuje nas. Porusza wtedy cały zespół naszych władz wewnętrznych, powołuje je niejako pod broń i wskazuje na intruza, który włamał się w duszę naszą i wykoleił ją. Sumieniu to mamy do zawdzięczenia ten zdrowy niepokój, który jest wołaniem o ratunek w osobistym nieszczęściu. Głos sumienia jest wszakże tylko sygnałem. Przyczyną ostateczna niepokoju i smutku jest istotny wróg nasz: grzech. Bo czymże on jest? Zwichnięciem wewnętrznego człowieka, sparaliżowaniem ducha, ruiną szczęścia, jednym słowem śmiercią. Tak, śmiercią. Wiara mówi nam, że przez grzech ciężki tracimy życie Boże: łaskę poświęcającą, obecność Trójcy św. w nas, miłość Boga, wszystkie zasługi. — Gdy dotąd w duszy było niebo, to obecnie zachodzą w nim ciemności otchłanne.

W przypadku wewnętrznego nieszczęścia najroztropniej uczynimy, jeśli na pobudkę naszego sprzymierzeńca czym prędzej powstaniemy i nawrócimy. Dopóki będziemy się ociągać, dopóki róść będzie i toczyć nas zajadle robak smutku. — Atmosfery wewnętrznego smętku zdusić nie potrafimy, ani zagłuszyć skargi serca. Można przysłonić cień zamierającego ducha ludzkiego afiszem dobrego humoru, a wołanie serca zgłuszyć gwarem światowych zabaw, lecz tylko na krótko. Wiecznie grać nie będziemy, gra zaś na zwłokę kończy się zawsze tragiczną przegraną.

Szczęśliwy, kogo wcześnie rozbudzi głos wewnętrznego przyjaciela, kto znędzniały na jadle omłotu zawoła w końcu z synem marnotrawnym: „Wstanę i pójdę do domu ojca mego", a wracając pospiesznie padnie w ramiona ojca wołając: „Ojcze, zgrzeszyłem przeciw niebu i przeciw tobie"! A ojciec popatrzywszy na jego łachmany i bose poranione stopy powie sługom: „Rychło przynieście najlepszą szatę a obleczcie go i włóżcie pierścień na rękę jego i sandały na nogi jego. I przyprowadźcie tuczonego cielca i zabijcie, a jedzmy i weselmy się. Albowiem ten syn mój umarł a ożył, zaginął a odnalazł się. I poczęli się weselić" (Łuk., XV, 18—24). Ogrom tych radości, jakie ożywiają Boga i niebo całe, mamy wyrażony jeszcze w drugiej przypowieści o zgubionej owcy i zapodzianej drachmie: „Taka będzie radość w niebie z jednego grzesznika pokutę czyniącego jak z dziewięćdziesięciu dziewięciu, którzy pokuty nie potrzebują" (Łuk., XV, 7).

Boża radość udziela się przede wszystkim duszy samego pokutującego. On to doznaje głównie rozczulającej dobroci Boga. Dobry Ojciec wychodzi naprzeciw marnotrawnego syna, rzuca mu się na szyję, jak opisuje ewangelista, i całuje go. Dobry pasterz znowu, gdy znajdzie owcę, bierze ją na ramiona. Przez te przejawy wyrażona jest doskonale łaska sakramentu pokuty. W niej to łaska rzuca nas w objęcia Boga, składa na naszej duszy Jego pocałunek pokoju, a darując nam karę wiecznego odrzucenia każe nam już nie bać się Boga lecz radować się.

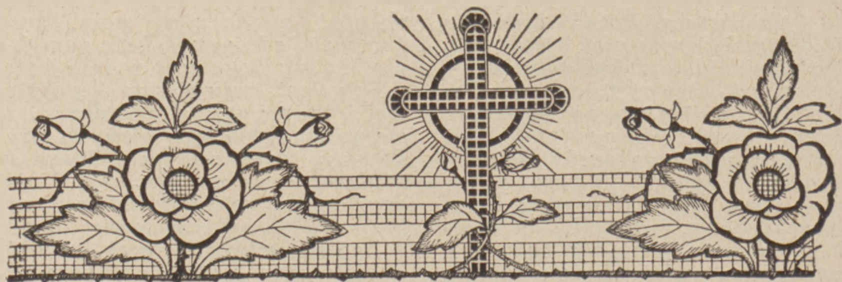
Bóg jest najwyższym autorytetem i twórcą wszystkich praw, zarówno pozytywnych jak przyrodzonych, zarówno tych, które są zapisane w sercu naszym jak nadane przez ustawodawstwo ludzkie. Jeśli zaprowadzimy zgodę z Bogiem, wtedy nastąpi i spokój z sumieniem naszym, które przecież jest głosem bożym w nas. Je-

żeli Bóg nasz każe nam się radować, to i sumienie nie będzie nam czyniło niepokoju. Jeżeli w Kościele znajdziemy pociechę przez wyznanie grzechów w jego Sakramencie, to i w sercu naszym nastąpi szczere rozradowanie.

Spowiedź katolicka jest cudownym regeneratorem naszego życia duchownego. Kto był umarły, odzyskuje przezeń życie w Bogu i to życie na wieki. Kto zginął, odnajduje się w ramionach Boga. Łaska sakramentalna sprowadzając do naszej duszy z powrotem Boga przywraca w nim raj i jego wielki skarb: radość dzieci bożych. W katolickiej religii, a wyrażając się bardziej wyczerpująco: w obecnej ekonomii odkupienia ludzi, jedynym moralnym sposobem zbawienia się grzesznych jest spowiedź. Nie masz odpuszczenia grzechów bez spowiedzi przynajmniej zamierzonej lub zawartej w dobrej woli człowieka.

Trybunał sakramentalnej pokuty jest tą sadzawką Siloe, w której już nie co pewien czas lecz ciągle kapłan niby anioł boży porusza wodę uleczającą chorowite i smutne dusze ludzkie. Ten sąd Boży nieustannie się odbywający w małym mieszkanku konfesjonału zaprowadza zgodę w człowieku między jego zasadami a praktyką, między rozumem spekulatywnym a praktycznym, między umysłem a wolą. Od konfesjonału widzi chrześcijanin same ścieżki prawdy, dobra piękna. A dobra te, tak dla niego upragnione, bo tworzą jego szczęście całkowite, nie migają mu na abstrakcyjnym firmamencie lecz koncentrują się w jedną treść w Bogu. Co więcej, ten Bóg, mówi nam wiara, jest nasz, jest bliżej teraz nas aniżeli się domyślamy, jest bowiem wewnątrz nas, bo mieszka w sercu naszym. Jeżeli rzeczywiście przebywa w duszy naszej, to jakaż myśl, jakie przeświadczenie może dla nas tryskać wyższą radością, mało powiedzieć: radością, ale wprost upojeniem? Po dobrej spowiedzi czujemy, że warto żyć, i rzeczywiście chce się nam żyć. Mamy wtedy ochotę do wszystkiego, gdyż posiadamy to co najważniejsze: ducha żyjącego Bogiem.

O. Otto Karmelita bosy



KALWARIA ZEBRZYDOWSKA

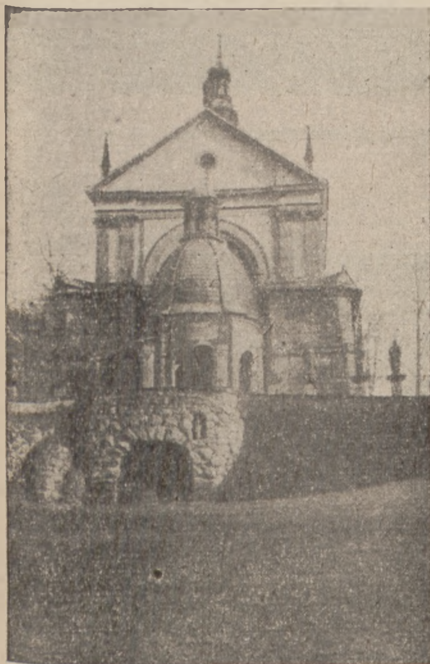
Wiemy, że Kalwaria czyli Golgota, to wzniesienie poza murami Jerozolimy, na którym Syn Człowieczy został wywyższony od ziemi (zawisł na Krzyżu), by nas wszystkich pociągnąć do siebie, by nam swą Krwią Najdroższą wysłużyć zbawienie. Miejsce to należało zawsze do najdroższych dla serc wyznawców Chrystusa. Głównie o to miejsce, o Grób Pański, toczyli w średniowieczu chrześcijanie ciężkie boje, by je wyrwać z rąk pogańskich.



Obraz Matki Boskiej Kalwaryjskiej.

Gdy jednak dostęp do tych świętych miejsc był utrudniony i nie dla każdego możliwy, poczęto w krajach oczystych zaprowadzać Drogi Krzyżowe ze stacjami przypominającymi poszczególne sceny z Męki Zbawiciela. Na Zachodzie pojawiają się takie Drogi Krzyżowe w XV w. — najpierw w Hiszpanii, a następnie rozpowszechniały się prędko po całej Europie. Początkowo nie było ściśle określonej liczby stacyj, dopiero z biegiem czasu liczba ta ustaliła się na 14.

Przy zakładaniu Drogi Krzyżowej starano się odtwarzać, choćby tylko z niejakim przybliżeniem warunki jerozolimskie. Na poszczególnych stacjach budowano kapliczki. Z czasem dopiero weszło w praktykę zaprowadzanie Drogi Krzyżowej w postaci obrazów przedstawiających sceny z Męki Zbawiciela. Sposób ten rozpowszechniał się zwłaszcza od św. Leonarda a Portu Mauritio (wiek XVIII). Drogi Krzyżowe w pierwotnej formie nazywano Kalwariami.



Kościół Wniebowzięcia.

Pierwsza tego rodzaju Droga Krzyżowa powstała u nas za sprawą Bernardynów w miejscowości

zwanej Kalwaria Zebrzydowska. Fundacji tej dokonał wojewoda Krakowski Mikołaj Zebrzydowski. Przez pielgrzymującego do Ziemi Świętej Hieronima Strzałę zdobył gipsowe modele miejsc świętych. Początkowo miał zamiar wybudować tylko kościół-pustelnię, podobny do kościoła, stojącego na miejscu śmierci Zbawiciela. — W dzień św. Franciszka 4 października 1600 r. położył kamień węgielny pod tę budowę. Później jednak za namową Bernardynów skłonił się do wybudowania Kalwarii. Bernardyni objęli nową fundację w r.



Kościół i klasztor Ojców Bernardynów.



Wnętrze kościoła.



Kościół Ukrzyżowania P. Jezusa.

1601. Dyplom erekcyjny wystawił Zebrzydowski w . 1602. Miejsce to było podobne do miejsc świętych w Jerozolimie z nieco tylko większymi odległościami. W roku 1609 odbyła się konsekracja głównego kościoła.

Budowa poszczególnych kapliczek ciągnęła się od początku fundacji niemal aż do końca XVIII w. „Dróżki" Matki Bożej zaczęto budować w 1632 r.

W r. 1658 poczęto budować kaplicę dla cudownego obrazu Matki Bożej. Obraz ten otrzymano w r. 1641 od Pana Stanisława Paszkowskiego.

Kalwaria, która zasadniczo była obliczona na odprawianie Drogi Krzyżowej, stała się wielkim ośrodkiem kultu maryjnego. Najwięcej pątników gromadziły uroczystości Wniebowzięcia i Nawiedzenia Maryi. Przy okazji gromadzenia się na odpusty Maryjne, wierni odprawiali sobie „Dróżki" Męki Pańskiej. Uroczystości Wielkotygodniowe gromadziły również wielkie rzesze wiernych.

Łaski działane za przyczyną Matki Bożej Kalwaryjskiej były przyczyną do koronowania tego obrazu. Koronacji dokonał Arcypasterz Krakowski w r. 1887 w asyście arcybiskupa Mosawskiego i arcybiskupa Isaakowicza, przy współudziale dwustu księży i ponad 200.000 pątników. Koronacja sama odbyła się 15 sierpnia przed kościołem Grobu Najśw. Maryi Panny, Stamtąd przeniesiono uroczyście obraz do kaplicy obok kościoła klasztornego.

W roku 1937 obchodzono uroczyście 50-letni jubileusz koronacji tego obrazu.



Kaplica Grobu Pańskiego.



Kaplica „Oto Człowiek" i „Graduski"

Napływ pątników był wtedy bardzo wielki. Przybyło na tę uroczystość około 300.000 pielgrzymów i ponad 300 kapłanów. Uroczystościom przewodniczył J. E. biskup Stanisław Rospond.

Po ostatniej wojnie ufność w Maryi nie znalazła.

Diecezja Krakowska zebrała się przed swoim Sanktuarium — w Kalwarii, by tu oddać się Sercu swej Matki. Dostojny Arcypasterz J. Em. Kardynał Sapicha dopełnił tego poświęcenia przed cudownym obrazem.

Kalwaria złączyła w sobie dwa najdroższe dla serc katolików nabożeństwa — do Męki Zbawiciela i do Najśw. Maryi Panny. Maryja obsypuje wierny lud łaskami i darami, a przy tym niejako pokazuje jak nas Jezus umiłował wydając siebie na śmierć, byśmy mogli zyskać żywot wieczny. Prowadzi tu nadal swą istotną misję: daje nam Jezusa i prowadzi nas do Jezusa. Miejsce to należy do Jej najulubieńszych. Wiedzą o nim katolicy z całej Polski i chętnie tam pielgrzymują, by pozdrowić swą Matkę, by Jej złożyć hołd, podziękować za otrzymane łaski i prosić o nowe. — A Maryja jest hojną po królewsku i troskliwą po macierzyńsku: wszak na Golgocie-Kalwarii stała się dla nas wszystkich z woli Jezusa naszą Matką.

O. Eliasz od Matki Bożej
karmelita

Wszelkie zamówienia na miesięcznik oraz reklamacje dotyczące miesięcznika należy kierować na adres: Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch" Kraków, ul. Lubicz 42.

MOJA MSZA ŚWIĘTA

Już zaledwie dwa miesiące brakowało do końca roku szkonego, kiedy Janek znalazł się w szpitalu. Powaliła go niespodziewanie poważna choroba. Trudno było nawet przewidzieć jej koniec i pomyślny wynik

W pierwszą niedzielę maja Krysia, w towarzystwie swej matki, odwiedziła swego kuzyna w szpitalu. Dzień był przepiękny, słoneczny. Zewsząd pachniało wiosną w całej pełni i w całej krasie.

Wielu spośród chorych przechadzało się po szpitalnym ogrodzie. Janek leżał w łóżku. Przywitał przybyłych gości szczerym uśmiechem. Odłożył czytaną książkę na stolik. Krysia zdołała podpatrzyć, że był nią życiorys uśmiechniętego młodziana, Jerzego Frassati.

— Janku — przemówiła pierwsza Krysia — tak cudny i śliczny dzień, a ty w łóżku. — Jak możesz wytrzymać?

— Tylko — Krysiu proszę nie dolewać oliwy do ognia — przerwał Janek. Bo są chwile, w których mnie tęsknica za wiosną, polami, boiskiem z piłką chce dławić. — Wtenczas trzymam się oburącz łóżka, mocuję się. Są znów chwile — ot jak dziś przed południem — kiedy tęsknica mnie bierze za śpiewem, organami, za Mszą świetą. Mamy przecież w pobliżu kaplicę. Słyszę nawet dzwonek na ofiarowanie, Podniesienie, — a tu masz człowieku... Tak bym chciał być na Mszy świętej i modlić się z twego mszalika!

— Janku! — podniesionym głosem zawołała rozpromieniona Krysia. Nie możesz być co najwyżej w kapliczce, ale możesz brać udział w Najśw. Ofierze.

— Krysiu, jeśli znów tu jakaś tajemnica się kryje, proszę mi ją odkryć i o niej mnie pouczyć. A może będzie to jeszcze dla mnie cenniejszy podarek niż sam mszalik...

— Janku, wszak pamiętasz, że Msza św. jest ponowieniem, uobecnieniem Chrystusowej Ofiary na krzyżu. Tej ofiary, o której św. Paweł powiedział, że jej czegoś nie dostaje, że winna być dopełniana przez nas samych. To znaczy, że i my z naszej strony winniśmy składać coś w ofierze wespół z ofiarującym się Ojcu Chrystusem.

— Dziwne rzeczy — Krysiu — słyszę — przerwał zdumiony Janek. Dajmy na to, że to święta prawda, co prawisz, ale, że ja, tu chory, mogę coś ofiarować, to inna rzecz, czego wcale nie pojmuję...

— Właśnie — Janku — jeśli kiedy to teraz masz najwięcej do ofiarowania. I gdy swoją ofiarę połączysz z ofiarą Chrystusa, dasz wszystko, dasz wiele.

— Krysiu kochana — przerwał Janek. Ale o tej „mojej ofierze" powiedz mi coś bardziej konkretnego. Wszak to mnie najwięcej ciekawi.

— Wiesz Janku, przypominam sobie w tej chwii, że kiedy św. Teresa — ta „z różami" — składała swe śluby Bogu, wówczas wypisała sobie i położyła na sercu te słowa: „Ofiaruję się Tobie, o mój Jezu najmilszy, aby we mnie spełniała się najświętsza Twoja wola".

Widzisz Janku, — myślę — że takie usposobienie duszy to najpiękniejsza z naszej strony ofiara. Najbardziej podobna do Ofiary Chrystusa. A i któż ci zabroni, kiedy usłyszysz dzwonek z kaplicy szpitalnej, byś właśnie na złocistej patenie kapłana złożył i ten dar z siebie i byś wraz z kapłanem wypowiedział z szczerego serca te słowa: „Przyjm, Ojcze święty, wszechmogący, wiekuisty Boże, tę hostię niepokalaną, którą niegodny sługa twój ofiaruję Tobie, Bogu mojemu, żywemu i prawdziwemu, za niezliczone grzechy, i niedbalstwa moje, za wszystkich tu obecnych, a także za wszystkich wiernych chrześcijan, żywych i umarłych, aby mnie i im posłużyła do zbawienia w życiu wiekuistym".

— No, ale, Krysiu, zrozum mnie, że przecież czekają mię egzaminy, że grozi mi utrata roku. Nie wiem, czy w podobnych sytuacjach jest miejsce na wolę Bożą, choćbyśmy ją najświętszą nazwali?....

— Właśnie — Janku — w tym cała trudność, że z Panem Bogiem wciąż się targujemy, zamiast z weselem i radością i wdzięcznością przyjąć Jego



wolę. W ostateczności z bolesną rezygnacją poddajemy się jej jako nieuniknionej konieczności, lecz do tego, by ulec jej czarowi jakże zwykle nam daleko... I w tym, niestety, cała nasza klęska i powody do ciągłych niepokojów...

— I czyż istotnie — pytał już z błyszczącymi oczyma Janek — można „ulec czarowi woli Bożej"?

— Z całą pewnością — Janku. — Wszak wola Boża, to bezmiar miłości, piękna. A i cóż w tym dziwnego, że urok dobroci, piękna podbija nas swym czarem? Właśnie Ofiara Mszy świętej — uczestniczenie w niej — ułatwia nam niezwykle poddać się owemu czarowi woli Bożej.

— No — Krysiu — dajmy na to że już uległem owemu przedziwnemu czarowi woli Bożej... I czy jeszcze, prócz tego, mogę coś ofiarować Bogu w mej Mszy świętej?

— I owszem — tłumaczyła dalej Krysia. Będziesz niedługo, da Pan Bóg, zdrów, wówczas winieneś na ołtarzu złożyć i cząstkę swego chleba. To znaczy to, co chleb symbolizuje: twoją pracę. Pracę chętną, ofiarną, od zarania do wieczoru.

— Krysiu, — przerwał Janek — tę ofiarę chętnie będę przynosił, by tylko siły i zdrowie wróciły.

— Widzisz — Janku — ale i prócz chleba, trzeba nam i wino w kielichu ofiarować. Wino, wyciskane pod ciężarem pracy, to znów symbol naszych ofiar naszych łez, naszego bólu.

Pamiętasz — Janku — ową serię obrazków artysty Barbari'ego, której nadał tytuł: „Nowenna powrotu mej duszy do Boga". Kiedyś przyniosłam ci je oglądać. Pierwszy z tych obrazków — jak sobie przypominasz — przedstawia dziewicę płaczącą — symbol duszy. A oto Chrystus podstawia swe dłonie na policzkach jej i każda łza upada w te boskie Jego dłonie. Następny obrazek, to dusza, pogrążona w modlitwie, z rozlanym nieziemskim na obliczu pokojem, adoruje rany Ukrzyżowanego Zbawiciela, jaśniejące przedziwnym blaskiem. I ostatni obrazek — dziewiąty — jak mówiłam ci — przedstawiał zjednoczenie duszy z Chrystusem, usymbolizowane boskim pocałunkiem pokoju. Porównaj — Janku — wewnętrzną łączność tych symbolów: zjednoczenie, pełne niewypowiedzianego szczęścia miłości, owocem łez, bólu.

Tak — Janku kochany. — Bóg istotnie potrzebuje naszych łez, by nas obdarzyć słodkimi owocami miłości: pokojem, weselem.

Janek zamyślony i rozpromieniony wpatrywał się w Krysię nie śmiąc jej

przerywać. Zresztą słowa jej sprawiały mu jakąś dziwną ulgę. Ona zaś tłumaczyła dalej.

— A kiedy — Janku — usłyszysz dzwonek na Podniesienie uprzytomnij sobie, że Bóg i ciebie — jak kapłan hostię — znaczy swoim krzyżem. A znaczy cię na to, by cię przeistoczyć. By wszystko co zbyt ziemskie, przyrodzone przemienić, uszlachetnić. By twemu życiu naturalnemu dać coraz pełniejszy udział w życiu nadprzyrodzonym — w życu Bożym.

— A potem co się ma — Krysiu — ze mną dziać? — pytał Janek, ciekawy końca wspaniałego poematu.

— Potem — Janku — to już naturalna rzecz — ogromna tęsknota za zjednoczeniem z naszym Bogiem, albo lepiej z moim Boskim Oblubieńcem. Tęsknota, którą najlepiej z naszej strony wypowiada „Ojcze nasz". Tęsknota, której najdoskonalszym ze strony Boga ukojeniem jest Komunia czyli dar samego Boga dla mnie. Zresztą czy nazwiemy ją Ucztą miłości, czy zjednoczeniem serc kochających się, zawsze będzie to tylko cień rzeczywistości....

No, Janku, ale mi proszę wybaczyć. Niespodziewanie i do tego bez „misji kanonicznej" bawię się w kaznodzieję i nudzę cię moimi myślami.

— Masz tu soczystą pomarańczę, proszę skosztować, to się orzeźwisz. — A to pierwsze kwiaty z mojego ogródka — mówiła Krysia, kładąc wiązankę pachnących kwiatów Jankowi na łóżku.

Dziękuję, Krysiu — tylko uważ, że smaczne pomarańcze wonne kwiaty i ofiara, o której tyle przed chwilą mówiłaś, to jakoś z sobą nie harmonizuje... mówił zdumiony Janek.

— I dziwisz się temu — Janku — czyż cię to nie uderzyło, że i dzieła Boże w istocie pełne są kontrastów. Nawet w samym świecie przyrody. Ot po groźnej zimie miła wiosna; po ciemnej nocy, jasny słoneczny dzień. W różach znajdziesz i ciernie. Obumarcie jednego ziarna daje życie złocistemu kłosowi.

— Istotnie to przedziwne — zauważył Janek.

— A bo przedziwny jest i Bóg w dziełach swoich — mówiła dalej Krysia. I w świecie nadprzyrodzonym Bóg niejako kocha się w kontrastach. I tam widzimy ofiarę, ból, widzimy radość i wesele; znajdujemy ciernie umartwienia, ale i wonne kwiaty pokoju dzieci Bożych.

A zatem i pomarańcza znajduje swe miejsce w ofierze. W twojej Mszy winieneś i twe radości wlewać do ofiarnego kielicha. Wszak wino to symbol nie tylko bólu, ale i wesela.

Jeszcze długie chwile Krysia i Janek rozmawiali z sobą.

Kiedy odeszła, Janek zjadł jeszcze jedną pomarańczę, a potem wziął do rąk swój mszalik. Oczy jego spoczęły na tych słowach: „Prawica Pańska moc okazała, mnie wywyższyła. Nie umrę, lecz dalej żyć będę, aby rozgłaszać dzieła Pańskie".

Zachodzące słońce rzucało swe ostatne pożegnalne promienie na salę.

Zapadał cichy, majowy wieczór. — W ogrodzie szpitala dźwięczała uroczysta cisza, przerywana melodiami świerszczów; w powietrzu unosiła się soczysta woń wiosny. Janek najwyraźniej czuł, że i w swym sercu przeżywa wiosnę. Czuł, że i jego dusza zalana blaskami wesela, promieniami chrześcijańskiej nadziei, wypływającej z Krzyża.

O. Rudolf k. b.

SŁUP OGNISTY

Listy do Krystyny o możliwościach osiągnięcia świętości w małżeństwie (9)

Krysieńko droga!

Wiem dobrze, iż właściwie powinienem rozpocząć omawianie rad ewangelicznych w życiu małżeńskim od posłuszeństwa. Gdyż — w myśl tego cośmy powiedzieli w poprzednim liście — posłuszeństwo, będące odpowiednikiem wiary, stanowi, podobnie jak i ona fundament, na którym opierają się i wznosza: tu miłość i nadzieja, tam — czystość i ubóstwo w „duchu". Z wiary wyrasta miłość Tego, któregośmy przez wiarę poznali. I tylko z niewzruszonej odskoczni wiary można wzbić się ku nadziei. Podobnie dzieje się z posłuszeństwem. Bez oparcia o jasno wytkniętą i dobrowolnie obraną linię posłuszeństwa wobec Woli i natchnień Przedwiecznej Mądrości — czystość serca, mająca być wyrazem miłości, i ubóstwo mające świadczyć nadziei i ufności, staną się po prostu wynikiem przypadku, igraszką okoliczności, trzciną chwiejącą się na wietrze i gotową dać się wykorzenić każdemu silniejszemu podmuchowi. Gorzej jeszcze; bo czystość i ubóstwo nie oparte na świadomie zbudowanym i wszechstronnie przemyślanym kośćcu posłuszeństwa mogą łatwo wykrzywić się w karykaturę swych właściwych założeń. Pierwsza może zakrzepnąć w obłudzie, drugie — stać się wygodną maską dla inercji lub niedołęstwa. Podobnie jak wiara — choć nie można jej wyprowadzić bez reszty z przesłanek czysto rozumowych — oświeca umysł, pozwala mu dostrzec i pojąć prawdy stojące ponad poziomem doświadczenia i logiki ludzkiej, tak i posłuszeństwo — choć zdawałoby się, przekreśla wolę — jednak dynamizuje ją, naładowuje mocą ponadludzką, pozwala dorosnąć do heroizmu, do którego o własnych siłach nie potrafiłby się dźwignąć. Zrozumienie tej doniosłości posłuszeństwa przyjętego dobrowolnie, świadomie i „raz na zawsze", stanowi przecie sens wszystkich ślubowań, składanych przez ludzi, przed zaciągnięciem się pod sztandary spraw i zadań wymagających ponadprzeciętnej miary w ofiarności i bohaterstwie: przysięgi żołnierskiej, przysięgi zawodowej, zakonnego ślubu posłuszeństwa.

Ale przecie w każdym z tych wypadków, choć posłuszeństwo oddaje wolę pod kierownictwo i rozkazy człowieka — jednak bywa ślubowane nie człowiekowi, lecz nadrzędnej idei, prawdzie poznanej, umiłowanej i przyjętej. Bo posłuszeństwo (należałoby to wypisać ognistymi literami!) nie powinno być nigdy... biernością. Posłuszeństwo jest zawsze czynem, aktem jakiejś wiary, nadziei i miłości, którym poświęcamy siebie bez reszty i „na przepadłe".

Dlatego tak ważne jest to podstawowe: przekreślenie własnej woli... własną wolą, co tworzy już odtąd jak gdyby znak krzyża unoszącego się nad całą nieznaną jeszcze przyszłością, nad wszystkimi wymaganiami, jakie ze sobą przyniesie, nad niespodziankami jej klęsk i zwycięstw, nad jej trudem i radością, a zwłaszcza nad jej nieprzeniknioną tajemnicą.

Tak, wiem to dobrze, Krysiu, powinienem był zacząć od posłuszeństwa. Jeślim tego jednak nie uczynił (a i teraz wykręcam się przydługimi wstępami!) to dlatego, iż na myśl o tym temacie, obleciał mnie i oblatuje nadal... strach!

Posłuszeństwo w małżeństwie... czy dotknął kto już kiedy tego tematu? — Nie wiem, wiem jednak ponad wszelką wątpliwość, iż na to, by go choć w przybliżeniu wyczerpać, trzeba by mu poświęcić całą monografię, a nie zwykły list. A zwłaszcza trzeba być na to kimś innym iż ja...

Oczywiście nie mam tu na myśli jakiegoś posłuszeństwa wzajemnego małżonków wobec siebie. Posłuszeństwo wzajemne małżonków powinno być oparte na tej samej zasadzie co posłuszeństwo wzajemne dwu stóp jednego ciała, stóp wspierających jedna drugą, a obie ra-

zem wspierających całe ciało. Dwu stóp jednakowo i równorzędnie podległych rozkazom woli, której siedliskiem jest głowa, a kolejno ustępujących sobie wzajem pierwszeństwa w marszu. Co więc mam na myśli — to posłuszeństwo obojga Panu Bogu, wielkiej sprawie Bożej, w której orbitę zostają wciągnięci, z chwilą, gdy zamieniają obrączki przed ołtarzem. Z chwilą, gdy — wiedząc o tym, czy nie wiedząc — nadają sobie nawzajem jedność budowniczych Bożego Królestwa.

Posłuszeństwo wobec Pana Boga, Jego woli i wszystkich Jego żądań... Posłuszeństwo, którego się w małżeństwie właściwie... nie ślubuje... Jakże to opisać w kilku słowach czym ono być powinno, a czym nie jest? Jakże tu odmalować całe jego piękno, nie tając jednocześnie, iż jest ono właśnie w małżeństwie tym najgroźniejszym odcinkiem, na którym — od stopni ołtarza aż do desek trumny — zmagać się mogą ze sobą na śmierć i życie, aż tak biegunowe przeciwieństwa jak świętość i potępienie?...

Długo myślałem o tym, Krysiu. Aż wreszcie postanowiłem uprościć sobie zadanie czymś w rodzaju matematycznego równania. Bo zresztą posłuszeństwo ma wiele wspólnego z matematyką. — Człowiek który nie wkroczył nigdy w zaklęte rewiry wzorów i symbolów wyższej matematyki widzi w nich tylko zawiłe znaki, suche i nudne cyfry. Lecz matematyk, uczony, który zapuścił się w gąszcz tej niekończącej się wiedzy twierdzi, iż matematyka, to nie tylko klucz uniwersalny do wszelkiego poznania, lecz również... najczystsza poezja. Podobnie i ten kto nie wniknął w nadrzędną, czy nadprzyrodzoną wymowę spraw najwyższych, wyrażającą się językiem rozkazów ludzkich, dostrzeże w nich tylko uciążliwą lub zgoła nieznośną ingerencję w jego osobistą wolność. Lecz ten, kto w wymaganiach posłuszeństwa, dopatrzył się symbolów wielkiego Bożego ładu przyswoi je sobie jako klucz uniwersalny do poznania zamiarów Bożych nad sobą i pojmie tę najczystszą poezję, której rytmem jest tętno Woli Najwyższego.

Otóż wydaje mi się, iż jedyne równanie za pomocą którego jako tako uda mi się zamknąć to zagadnienie w ramach listu, to równanie między posłuszeństwem w zakonie, (gdyż opieramy się przecie od początku na tym podstawowym twierdzeniu, że małżeństwo jest... zakonem).

I to sięgnę do naszych wspólnych, tak jeszcze świeżych wspomnień. Wszak oboje pamiętamy te wieczory sprzed kilku zaledwie lat... te dwie głowy pochylone nad „Twierdzą wewnętrzną", czy „Księgą Fundacji", lub „Przestrogami św. Jana". Te dwie młode głowy... I tę uginającą się pod koroną złocistych warkoczy... I tamtą kędzierzawą główkę... Czoło lśniące dziecinnym jeszcze blaskiem... i czarne oczy w których tyle mieściło się uśmiechów... Te dwie głowy okolone już dziś obie otokiem welonu... Jak to się one, skupione, obce wszystkiemu co je jeszcze otaczało pochylały nad tym co im mówiło o szlaku ich przyszłego życia. Jak bardzo chciały, jak bardzo „musiały"... wiedzieć.

Wiemy to dobrze, Krysiu, że człowiek który poczuje w sobie ten głos nad głosy jakim jest powołanie do zakonu, chce i musi zapoznać się wpierw z tym, co go czeka. Bo sam uważał by to za uchybienie wielkości ślubowania jakie złożyć zamierza, gdyby czynił to na ślepo i bez przygotowania. Ale i przezorna, wielowiekowym doświadczeniem karmiona, święta roztropność wszystkich reguł zakonnych wymaga od swoich przyszłych adeptów, by nie podpisywali się „na wiarę" pod dokument wiążący ich na całe życie i na całą wieczność.

Po zapoznaniu się z Regułą i konstytucjami, przychodzi okres postulatu, potem nowicjatu, po którym zresztą nie od razu przychodzi definitywny moment ślubów wieczystych. I do tej chwili przysługuje prawo wystąpienia nie narażając przez to na szwank zbawienia duszy. Toteż dzień gdy wreszcie własna wola, własną wolę przekreśli tworząc zbawczy krzyż wyzwalający na zawsze z samolubstwa i małoduszności — będzie bez wątpienia dniem otwartych oczu i przemyślanych decyzji.

Od tej chwili już, na niebotycznym szlaku zakonnego powołania, którego

heroizm wyraża się przede wszystkim w ślubie dziewictwa, w wyrzeczeniu się najczytszych nawet radości ziemskich, w ustawicznym umartwieniu i pokutnej ofierze za nieswoje grzechy, w niezmordowanym wspinaniu się coraz wyżej ponad doczesność ku szczytom czystej nadprzyrodzoności — posłuszeństwo odgrywać już będzie tę samą rolę, co klamry w wysokogórskiej wspinaczce. Od konieczności ustawicznego trzymania się tych klamer, mogą oczywiście rozboleć ramiona, krwawić ręce. Niemniej klamry stanowią punkt oparcia, niezawodny drogowskaz kierunku, podtrzymanie słabnących sił. Są widoczne, uchwytne i mocne.

Pod wrażeniem wspomnienia tamtych dwu młodych głów pochylonych nad kartami dzieł św. Teresy, ujrzałem w tej chwili, jeszcze wyraźniej niż zwykle, Twoją główkę, Krysiu. I wyznam Ci, iż serce ścisnęło mi się boleśnie na myśl, iż nie wiem doprawdy nad jakim dziełem pochylić by się mogła ażeby wyczytać z niego — nie tylko suche, bezowocne wskazówki — ale przeżytą krwią serca i aż do szpiku kości, prawdę o posłuszeństwie w Twym przyszłym powołaniu. — A przecie zarówno jak tamte dwie chcesz wiedzieć, musisz wiedzieć. I z tego musu zdajesz sobie sprawę, jeśliś swą prośbę o wskazówki „wędrowca przedzierającego się przez dżunglę" zwróciłaś do mnie nie bacząc nawet na niewłaściwość adresu.

Bo tak istotnie być powinno. Okres poprzedzający nie tylko już narzeczeństwo, ale nawet znajomość człowieka którego się kiedyś pokocha, powinien — jakeśmy to już sobie powiedzieli w liście o Aniele Pańskim — być poświęcony rozpatrywaniu wszystkich ewentualnych aspektów małżeńskiego życia. Ale któż to czynił... któż o tym myśli...

Potem przychodzą poznanie i miłość, postulat małżeńskiego powołania i narzeczeństwo — jego nowicjat. Bo niech mi wybaczyć raczy kochany, święty Biskup Genewski, że ośmielam się korygować jego twierdzenie. Małżeństwo ma swój postulat i ma nowicjat. Ale doczekałoby się doskonalszych profesów, gdyby ten okres, zamiast upływać w najlepszym razie — na czczych i nierealnych marzeniach, a w najgorszym — na grzesznych wypadach w niedozwolone jeszcze dziedziny — upłynął na długich rozmowach i wspólnych naradach nad pytaniami: „Jak to będzie?... jak być powinno?... Czyśmy do tego wszystkiego dorośli?... Czyśmy na to wszystko gotowi?...

Nowożeńcy przystępujący do ołtarza czynią to przeważnie w przekonaniu, iż zachowują swoją wolę dla siebie, by czynić z nią, co im się żywnie będzie podobało. I każde z nich zakłada z góry, iż zdoła tej swojej woli podporządkować również i współmałżonka. Trzeba wprawdzie przyznać, iż wielu z nich bierze pod uwagę te główne paragrafy posłuszeństwa w małżeństwie jakimi są obowiązek wierności wzajemnej i konieczność poddania się wymogom prawa naturalnego. Ale ich dzisiejsza miłość skraca w ich oczach rzeczywistą perspektywę słów: „aż do śmierci". A niedoświadczenie zasłania przed nimi tę wielką prawdę, iż poddać się bez reszty wymogom prawa przyrodzonego zdoła tylko ten, komu przyświecają cele czysto nadprzyrodzone.

Nie przychodzi im więc nawet na myśl, iż do sakramentalnej formuły przysięgi na wierność i uczciwość wzajemną powinni dołączyć przysięgę posłuszeństwa wszystkim żądaniom Bożym, wszystkim, aż do męczeńskiej śmierci włącznie.

Ponieważ tego nie czynią, ich późniejsze akty posłuszeństwa — jeśli nawet zaistnieją — będą nosiły na sobie w najlepszym razie znamię bierności wobec naporu wypadków, a nie z góry odmierzonej w całej jej rozciągłości i dobrowolnie przyjętej na się — ofiary w imię wierności Bogu.

Toteż, Krysiu śmiem Cię prosić. Dziecko moje, jak najusilniej i jak najżarliwiej; nie zmarnuj swego nowicjatu! Bo to posłuszeństwo żądaniom Bożym, którego nie ślubujemy w małżeństwie, na żadnej chyba drodze życiowej nie jest tak bardzo jak w małżeństwie potrzebne. Lecz na to by móc je ślubować, trzeba wpierw w imię świętej roztropności która natchnęła wszystkie reguły zakon

ne, zapoznać się dokładnie z jego paragrafami.

Nie wiemy jeszcze kim będzie ten, którego Ci przeznaczone pokochać. Ale pozwolę sobie już dziś zwrócić Ci uwagę na to, że jeśliby nie chciał razem z Tobą odprawiać Waszego wspólnego nowicjatu, pod znakiem przestudiowania wymagań posłuszeństwa w małżeństwie to chyba... chyba, Krysiu powinnaś się z nim jednak, mimo wszystko, pożegnać.

Zakładam jednak, że zgodzi się z pewnością, choć by zrazu czynić to miał tylko dlatego, że Cię kocha. Lecz w miarę jak posuwać się będziecie w swych rozważaniach uczyni to, gdyż przekona się bezwątpienia o ich celowości.

Jak przywódcy ekspedycji wyruszający na wyprawę (bo przecie wyruszacie na wyprawę misyjną, Krysiu) wieczorami wspólnie ślęczą nad z grubsza skreśloną mapą niezbadanego jeszcze dokładnie terenu, tak i wy pochylajcie się nad tą mapą posłuszeństwa w małżeństwie, na której widnieją tylko główne jej kierunki, najważniejsze szlaki: Wierność dozgonna i bezkompromisowa, poddanie się przyrodzonym prawom Bożym... — Spójrzcie wzrokiem nieustraszonym, ale i wyostrzonym pokorą na olbrzymie połacie pustynnej monotonii dnia powszedniego. I na wąskie a ostre, jak ostrze miecza granie ciągnące się na zawrotnych wyżynach męczeństwa, jako jedyna linia podziału pomiędzy otchłaniami rozpaczy i zbrodni.

Nie chciałbym się wyrażać zbyt metaforycznie, Krysiu, bo mówimy o sprawie zbyt konkretnej i palącej by pozwalać się unosić gołosłownym i szumnym frazesom. Pustynie codziennej monotonii... tego Ci chyba nie potrzebuję wyjaśniać. Najmniej przewidujące narzeczeństwa, zapytają siebie jednak przeważnie z trwogą: „a jeśli sobie spowszedniejemy?“ Ale grań męczeństwa ciągnąca się pomiędzy otchłaniami rozpaczy i zbrodni, cóż to takiego?...

Opowiadałem Ci historię Elżuni. Podobnych, nie mniej heroicznych, mógłbym Ci opowiedzieć więcej. Mogłabyś również, im podobne, opowiedzieć i Ty, mnie. Któż z nas bowiem nie spotkał na drodze swego życia choćby jednej takiej heroicznej matki, która życie swe oddała w imię posłuszeństwa Bogu. Gdyby wyłamała się spod posłuszeństwa popełniłaby zbrodnię, zgoda. Zbrodnię, którą piętnuje i karze nawet ludzkie prawo. Ale gdyby też nie wyłamała się tylko z obawy przed tym ludzkim prawem, niechybnie popadłaby w rozpacz. Bo czyż nie może rozpacz ogarnąć serca matki, która w imię prawa do życia istoty nienarodzonej rozstaje się z życiem, i w imię tegoż prawa porzuca na pastwę losu, zaniedbania wszystkich najgorszych niebezpieczeństw te dzieci, które już z taką troskliwością i męką zdołała odchować? Ale pomiędzy tymi dwiema odtchłaniami zbrodni i rozpaczy ciągnie się ostra jak ostrze miecza linia męczeńskiej wierności prawom nie ludzkim, lecz Boskim; linia po której się kroczy okrwawionymi stopami, z omdlewającym sercem, lecz z głową wzniesioną ponad chmury zwątpień i wahań ku słońcu niezmierzonej ufności.

Agonia matek, które oddając życie, oddają więcej niż życie!... I angażują w to męczeństwo nie tylko siebie, ale i tych, których im Bóg powierzył a od których dobrowolnie odchodzą, choć wiedzą, że są tak bardzo potrzebne... Choć uśmiechają się do nich usteczka nieświadome jeszcze goryczy sieroctwa...

Ach, Krysiu, któż zdoła pojąć w całej rozciągłości tę powolną i świadomą agonię?... Któż dostrzegł aureolę świętości nakreśloną palcem Ojca w niebiesiech nad skroniami tych męczennic nadprzyrodzonej cnoty posłuszeństwa?... Któż uczcił należycie ich heroizm, nie mniejszy jednak chyba, niż heroizm dziewic oddających życie w obronie czystości?...

Przedziwne jednak bywają czasami „odwety Pana Boga“. Wypadki wyraźnego odpowiadania na ufność... cudem. Nie tylko tak jak się to stało w wypadku z Elżunią, której ufność nie zawiodła pomimo jej śmierci, ale na podobieństwo sprawy Abrahama, którego intencja ofiary i posłuszeństwa wystarczyła za samą ofiarę. Pamiętam jeden taki wypadek. Było to po powstaniu warszawskim. Młoda matka, otoczona trojgiem

drobnych, głodnych dzieci, znalazła przytułek w obórce gdzie mieszkały jeszcze dwie rodziny. O mężu jej nie wiadomo było czy zginął, czy został wywieziony. Była jedyną żywicielką, jedyną opiekunką swego drobiazgu. Dopiero ochłonąwszy nieco po przejściach ostatnich miesięcy pomiarkowała się że jest przy nadziei... drugi lub trzeci miesiąc... Wszystkim otaczającym ją, życzliwym towarzyszom wydawało się, że jednak... w takich warunkach... to już nie ma dwu zdań, że powinna... Byłem świadkiem tej rozmowy. Nie odpowiedziała ani jednym słowem, tylko spojrzała na mówiących... Nie będę się nawet kusił o opisywanie Ci tego, co mówiło to spojrzenie płonące gorączką, ale i czymś... czymś... na co chyba w ludzkiej mowie nie ma słów.

Pomimo straszliwej nędzy, pracy nad siły i trudów, które normalnie powinny były zabić kogoś nawet o wiele silniejszego od tej wątlutkiej i delikatnej kobieciny, wyżyła zarówno ona jak i te dzieci, które już miała i to które przyszło na świat, a które jest chyba najbardziej oddane z całego rodzeństwa. — Mąż jej wrócił. Dziś żyją szczęśliwym, spokojnym życiem. Ale w oczach tej matki, dla której nie istniała żadna alternatywa poza męczeństwem, jeśli taką była Wola Boża, jest jakiś przedziwny wyraz. Taki wyraz musieli mieć ludzie, których Pan Jezus wskrzeszał. Ludzie, którzy już nie tylko poznali Boga przez wiarę, lecz oglądali Go na własne oczy i wiarę tę noszą w sobie.

Męczeńskim szlakiem „grani posłuszeństwa", kroczą więc w pierwszym rzędzie kobiety-matki. Jakże nieskończe nie dostojna, jakże w pewnym sensie, nieprześcigniona jest wielkość ich heroizmu w posłuszeństwie! Ale za nimi kroczą inni: bohaterowie dozgonnej wierności! Kobiety młode, wartościowe, urocze, tak bardzo spragnione rodzinnego ciepła, macierzyństwa, męskiej opieki, kobiety, które zdolne były by dać tyle szczęścia temu, kto by je pokochał. Lecz kroczą przez życie samotne, ku starości samotnej... Gdzieś daleko od każdej z nich odszedł ten, któremu ślubowały, iż go nie opuszczą „aż do śmierci"... częstokroć, przeważnie nawet, odeszła od nich pamięć o nim, żal do niego... miłość. Toteż nie jemu dochowują wierności; lecz Bogu, który zabronił człowiekowi rozdzielać to, co on sam złączył.

I wierz mi, Krysiu, że podobni im w heroicznej wierności bywają też częściej niż nam się zdaje, mężczyźni. Znam mężczyzn trwających w niezłomnej wierności samemu ślubowi wierności. Nie tej ongiś umiłowanej, dziś wiarołomnej, lub nieuleczalnie chorej, czy oderwanej od nich wichrem dziejowego kataklizmu, lecz samej przysiędze złożonej przed ołtarzem. — Takich ludzi spotykamy w pracy, w fabryce, w biurze, na towarzyskim zebraniu. Lecz cóż my wiemy o ich świętości w posłuszeństwie? Cóż wiemy o męce tych samotników, którzy, wśród pokus świata i bez tej pociechy jaką daje towarzystwo współbraci w zakonie, żyją jak mnisi, choć nie byli do takiego życia powołani, lecz dobrowolnie się na nie skazali... z posłuszeństwa. Któż kiedy słyszał opowieść o ich wewnętrznych walkach i bezgłośnych tryumfach?... Nie słyszały jej z pewnością nawet kratki konfesjonału, przed którymi człowiek zrzuca z siebie tylko brzemię swych grzechów, niosąc dalej pod okiem samego Boga, nadludzkie nieraz brzemię swych cnót. Tylko czasem przypływ słabości, czy zaufania uchyli przed przyjacielem rąbka tajemnicy.

Badając te główne, bohaterskie szlaki na mapie reguły małżeńskiej zapytajcie siebie, Krysiu, czyście gotowi na nie wkroczyć, gdyby takim miał być nakaz Najwyższego. Być może, iż Pan Bóg nie doświadczy Was, aż tak srodze. Ale gotowym być... trzeba.

Nie pomińcie również tych pomniejszych (choć, kto wie, czy na długą metę nie równie ofiarnych) dróg, co ciągną się wzdłuż przekreślenia talentów, zdolności, najszlachetniejszych ambicji, by wypełnić bez reszty nakazy posłuszeństwa małżeńskiego. Znów przychodzi mi na myśl znany mi osobiście przykład. Dwoje ongiś obiecujących młodych naukowców; były tam podobno również i jakieś talenty artystyczne, czy literackie. Dzieci mieli nie wiele: sześcioro. Tylko, że dzieci te przychodziły na

świat w dużych odstępach czasu. Kiedy już, już zdawało się, że są odchowane, że będzie można przystąpić wreszcie do wymarzonej pracy — przychodziło nowe. I trzeba było wciąż pracować zarobkowo, troszczyć się o chleb, poświęcać tej trosce każdą chwilę. Marzenia odchodziły w dal, aż odeszły na zawsze. Dziś, są to już ludzie nie młodzi. Zanim odchowają swe ostatnie dzieci, będą już zupełnie starzy. Przestali marzyć. Nie skarżą się. Tylko czasem wieczorem gdy już dzieci śpią a oni siedzą sobie razem, dwoje nieznanych żołnierzy posłuszeństwa — pozwalają sobie na niewinną dezercję z posterunku. Wspominają odkrycia, których już tak byli bliscy... powieści, co nie zostały nigdy napisane choć plan ich nosiło się w głowie gotowy przez wiele lat... Wspominają pochlebne wzmianki o ich młodocianych pracach... To nie jest łatwe. być nieznanym żołnierzem, Krysiu...

Lecz poza tymi dwoma, czy trzema kierunkami wytkniętymi na mapie niezbadanego jeszcze przez Was terenu Waszego przyszłego życia — wszystko inne będzie wielką białą plamą. Bo przecie każde z Was może się w przyszłości okazać zupełnie inne niżeli sobie to drugie wystawiało. Może będziecie pragnęli dzieci, a Pan Bóg Wam ich odmówi. Może przeciwnie każde dziecko będzie powodem nowej fizycznej udręki i materialnych lub moralnych kłopotów. a będziecie ich mieli wiele. Nigdy też przewidzieć nie możecie w jakich warunkach rodzinnych, materialnych, zdrowotnych upłynie Wasze przyszłe życie. Jakie wypadki zewnętrzne mogą pokrzyżować wszystkie Wasze plany.

Wszystko to, co w zakonie da się w przybliżeniu przewidzieć, tu będzie płynne, zmienne, zaskakujące, wszystko będzie żądało ustawicznej pamięci na słowa „czuwajcie i módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie!" A gdzież będą klamry pomocne zakonnikowi w wysokogórskiej wspinaczce?... Gdzie rozkazy wyraźne, mądre wskazówki, rady ostrzeżenia wytrawnych przełożonych?

Oczywiście, najlepiej jest sobie jednak jakoś zapewnić istnienie tych klamer, wybrać sobie spowiednika, przez którego usta mogłaby się Wam objawiać Wola Boża. Ale trzeba się liczyć z tym, że dla jakichś nieprzewidzianych powodów nie będziecie mogli sobie tego spowiednika dobrać, lub też nie zawsze będziecie mogli zasięgnąć jego rady. Przyjść mogą, przyjdą nawet niezawodnie chwile, kiedy poczujecie, iż jesteście naprawdę samotnymi misjonarzami, nieznanymi żołnierzami na wysuniętym posterunku. odciętym od wszelkiej ludzkiej odsieczy.

Wtedy, Krysiu, spojrzyjcie w górę i odnajdziecie na firmamencie... Gwiazdę Przewodnią. To też nie jest pusty frazes! Maryja nie tylko czuwa nad tymi. co chcą za wszelką cenę trwać na posterunku posłuszeństwa. Lecz tylko Ona jedna zdoła im wskazać co czynić należy, gdy nie znajdą przy sobie rozkazodawcy. Maryja, której posłuszeństwo nie było nigdy biernością. Gdyż było zawsze zapytaniem skierowanym do Najwyższego, zapytaniem niemilknącym, od „jakże mi się to stanie?" po „cóżeś nam to uczynił?" Zapytaniem. w którym zawierała się pewność, z wiary wyrastająca, iż On jeden trzyma klucz do wszelkiego wyjaśnienia, zespolona z miłosną nadzieją, iż nigdy nie odmówi tej odpowiedzi, po usłyszeniu której wystarczy schylić głowę, oddać się całkowicie w Jego ręce, mówiąc „oto służebnica Pańska!", aby zstąpił On do serc i w nich działać począł.

Nie patrzcie więc zbyt trwożnie na te puste miejsca mapy, na których nie widnieje trasa posłuszeństwa. Ufajcie, iż Maryja Wam ją wskaże. Iż niezawodnie podszepnie Wam zawsze kiedy trzeba powiedzieć „Tak!" „Tak!" gdy wyrzec się trzeba swobody, zamiłowań, spokoju, by ujrzeć mogły światło dnia i w wieczności wszystkie te dusze, które Bóg przez Was do życia powołać zamierza... „Tak", gdy mimo szarpiącej pokusy odejścia trzeba wytrwać przy mężu brutalnym, czy lekkomyślnej żonie., — „Tak!" dziecku, przy którym trzeba czuwać, choć się oczy kleją. „Tak" mężowi czy żonie. jeśli trzeba pomóc w pracy, gdy — po całodziennej własnej harówce — tak bardzo by się chciało usiąść spokojnie z książką.

Ale nie omieszkajcie prosić Matkę Dobrej Rady, by raczyła Wam też zawsze podszepnąć kiedy trzeba umieć powiedzieć „Nie“. Bo umieć powiedzieć „nie“ to jest forma posłuszeństwa, wymagająca chyba największego heroizmu. Forma, której nie znają zakony, a która stanowi nieodzowny składnik świętości małżeńskiej. Gdyż małżeństwo nastręcza co chwila okoliczności i wypadki, w których najbliższym i najukochańszym trzeba umieć powiedzieć „Nie!“ Umieć powiedzieć, powtarzam to raz jeszcze, gdyż nieraz będzie się Wam serce krajało tak boleśnie, iż obleci Was pokusa ustąpienia. A ustąpić nie wolno właśnie w imię posłuszeństwa Bożego. Ustąpić nie wolno mężowi, który lekkim sercem chce frymarczyć świętością małżeństwa i żonę za sobą pociągnąć. Ustąpić nie wolno żonie, która sama o tym nie wiedząc schodzi na drogę zguby. Ustąpić nie wolno dziecku, które ze łzami błaga o coś, co stać się może kiedyś jego przekleństwem. Bo posłuszeństwo, to nie tylko oddanie się całkowicie na służbę Bożą poprzez wyrzeczenie się siebie dla bliźnich, lecz i ratowanie tych bliźnich dla Boga nawet kosztem ich miłości dla nas, a zachowanie siebie samych dla Boga, w stanie nienaruszonym i nietkniętym ponad bliźnimi i wbrew własnemu sercu.

Gdy to wszystko i wiele innych jeszcze rzeczy ujrzycie na mapie małżeńskiego posłuszeństwa — zapadnie między Wami wielka cisza. Spojrzycie sobie w oczy. Nie potrzebne Wam będą słowa. Każde z Was pomyśli jednocześnie to samo.

I w ostatni wieczór Waszego narzeczeństwa — w wieczór poprzedzający ten kiedy się już nie rozstaniecie — bez słowa weźmiecie się pod ramię. Oboje będziecie wiedzieli dokąd i po co zdążacie w milczeniu wymowniejszym od wszystkich słów. O tej wieczornej porze gdy kościoły bywają puste, a jarzy się tylko lampka przed Tym, który jest zawsze obecny — klękniecie razem u stóp ołtarza, przed którym nazajutrz ma odbyć się Wasz ślub.

Temu, który będzie jedynym wodzem Waszych dni, jedynym świadkiem Waszych nocy — złożycie żarliwym szeptem ślubowanie na wierność. Na wierność Jego woli, Jego sprawie, budowie Jego królestwa!

I to wspólne ślubowanie posłuszeństwa złożone w gotowości na wszystko, czego Bóg od Was zażąda podąży przed Wami w Waszą przyszłość nieznaną. Jak słup ognisty, co wskazując drogę wśród manowców blaskiem zaleje wszystkie ciemności, promieniami natchnień Bożych prześwietli wszystkie szlaki.

Jan Rybałt.

PANI JADWIGA II.

CO TO JEST

— Moja droga pani!

Jadwiga odwróciła głowę, skąd dobiegł ją zadyszany głos. Przystanęła. Biegła ku niej Genowefa.

— Jak dobrze, że panią spotykam.

— Czy spotkało cię jakie nieszczęście?

— Tak i nie. Nie wiem czy można nazwać to nieszczęściem. W każdym razie jestem w kropce.

— Ha, ha. To postaramy się otworzyć kropkę, aby ciebie z niej wyciągnąć. Zapewne masz jakiś kłopot ze Stasiem.

— Tak jest. Niech pani sobie wyobrazi — teraz mówiła już głosem spokojniejszym, choć jeszcze

podnieconym — o co mnie ten chłopiec zapytał.

— No?

— Skąd się zbiorą dzieci?

— A ty co na to?

— Pani się jeszcze pyta? Nakrzyczałam go co się dało i tyle. Pięć lat ma i co mu się zachciewa wiedzieć.

— I nic mu nie odpowiedziałaś?

— A może miałam mówić mu o bocianie? Skrzyczałam go i koniec.

— Nie mądrze zrobiłaś wobec tego.

— To koniecznie miałam mu mówić o bocianie?

— A kto ci powiedział, że takie głupstwa masz mówić Stasiowi...

Ko-ko-ko... — w tej chwili z koszyka Jadwigi wychyliła głowę kura oznajmiając całemu światu gwałt zadany jej wolności. — Jutro mam bal — zaśmiała się Jadwiga. — Przyjdą do mnie wnuki, trzeba jakiś lepszy obiad przygotować.

— Co będziemy stać. W jednym kierunku idziemy to po drodze rozwiążę ci tę sprawę. Wróćmy do tematu.

— Czy odpowiadasz mu na te pytania?

— Czasem tak, a czasem się zdenerwuję i dam mu klapsa.

— To źle robisz w ostatnim wypadku. Przede wszystkim powinnaś pamiętać, że ciekawość u dziecka jest dowodem jego rozwoju umysłowego. Rozum dotychczas uśpiony, budzi się do życia. Toteż, o ile możności, powinna każda matka zaspokoić ciekawość dziecka. Nie tylko więc nie wolno denerwować się pytaniami jego, nie dziwić się, że czegoś nie wie, ale odpowiadać mu spokojnie. I to kilka razy nawet na to samo pytanie. Matka w tym wypadku spełnia rolę pierwszej nauczycielki. Matce nie wolno się nigdy denerwować.

— A jeśli się pyta o taką rzecz, jak przed chwilką mówiłam?

— Czy przypominasz sobie, o co się Stasiu pytał przed tym pytaniem?

— Tak, szliśmy ulicą. Jechało auto. Zapytał się:

— Mamusiu, dlaczego kółka kręcą się u auta?

— Aby auto mogło jechać.

— A skąd się bierze ta woda — paluszkiem wskazał padający deszcz.

— Z chmury. — Nagle zobaczył podobnego do siebie chłopca idącego z matką. I wtenczas zadał to pytanie, skąd się biorą dzieci?

— Masz więc najlepszy dowód moja droga, że pytał się tylko z ciekawości. Ciekawi go, dlaczego koło się kręci, skąd bierze się deszcz, dlaczego nie miałoby go ciekawić, skąd się biorą ludzie.

— To co miałam mu powiedzieć?

— Rodzi się! Na pewno taka odpowiedź zaspokoi go na razie całkowicie. Nie będzie dalej pytał. A ty postąpiłaś, bądźmy szczerzy, jak histeryczka. Przez takie postępowanie dziecko może zapamiętać sobie ten wypadek w podświadomości i nabierze urazu do tej dziedziny, a po drugie straci zaufanie do własnej matki. Zacznie szukać gdzie indziej odpowiedzi. A matka, która chce kierować dzieckiem musi sobie zasłużyć na posłuch u niego. Przez

co? Przez miłość objawiającą się w poważnym traktowaniu jego pewnego rodzaju zagadnień umysłowych.

A gdy nie umiem odpowiedzieć Stasiowi na jakieś pytanie? Na przykład wczoraj pyta mnie:

— Skąd światło jest w żarówce?

— Z elektrowni.

— A w elektrowni skąd się bierze, czy go robią, a jak? — Nie wiedziałam co na to odpowiedzieć.

— W takich wypadkach trzeba przyznać się dziecku, że się tego nie wie i odrazu mu oznajmić, że nie wszystko człowiek może wiedzieć.

— Ani się spostrzegłam, a już przed domem jestem. Jak bardzo jestem pani wdzięczna za rady. — Proszę patrzyć, mój Stasiu biegnie!

Pucołowaty blondynek biegł z ogródka dziecinnego w stronę matki.

— Mamusiu! — raptownie skierował wzrok na panią Jadwigę. Przyglądał się jej z pewnym zaciekawieniem, nagle tłuściutkim paluszkiem wskazując na głowę wychylającej się z kosza kury zapytał:

— Co to jest?

Bożenna Mirska

PLAN REKOLEKCJI ZAMKNIĘTYCH

4— 8/VI	Dla pań pragnących pogłębić swą wiarę.
11—15/VI	Dla panów z inteligencji.
18—23/VI	Dla III Zakonu.
25—29/VI	Dla maturzystek i akademiczek.
2— 6/VII	Dla nauczycielek.
9—13/VII	Dla księży.
16—20/VII	Dla księży.
24—28/VII	Dla pań z inteligencji.
28/VII—1/VIII	Dla czcicielek Serca Jezusowego.
1— 5/VIII	Dla panów z inteligencji.
7—11/VIII	Dla nauczycielek.
16—20/VIII	Dla III Zakonu.
21—25/VIII	Dla matek.
27—31/VIII	Dla pań oddających się pracy charytatywnej i społecznej.
4— 8/IX	Dla osób żyjących w panieństwie, będących po 30-tym roku życia
11—15/IX	Dla akademików i maturzystów.

Rekolekcje zaczynają się po południu pierwszego, a kończą się rano ostatniego z podanych przy każdej serii dni. Rekolekcji udzielają Karmelici Bosi Kto pragnie wziąć udział w rekolekcjach, winien uprzednio porozumieć się listownie z Domem Rekolekcyjnym. Listy należy kierować pod adresem:

Dom Rekolekcyjny Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus
CZERNA, poczta KRZESZOWICE koło Krakowa.

DO CELU

Ręka z czytanym listem opada a Jadwiga patrzy w zamyśleniu przed siebie. Więc jutro danem jej będzie poznać tego, który zabrał jej najserdeczniejsze uczucia przyjaciółki. Wciąż jeszcze nie może oprzeć się w stosunku do niego uczuciom niechęci a nawet żalu. Zdaje sobie sprawę z całej bezsensowności takiego nastawienia, niemniej nie jest w możności z niego się otrząsnąć. Wie, że raczej powinna mu być wdzięczna za uszczęśliwienie drogiej jej istoty. lecz wraz z uzyskaniem przez Elę własnego domowego ogniska Jadwiga zupełnie osamotniona stanęła przy swoim. Dotychczas dzieliły je wspólnie wraz z dolą i niedolą życia. Już od czasu zaręczyn Eli a nade wszystko jej wyjazdu po ślubie Jadwiga zmuszoną jest dźwigać dotkliwy ciężar samotności. Taki stan rzeczy trwa od szeregu miesięcy, bez dotychczasowego widoku na jakąkolwiek zmianę. Dopiero odczytana przed chwilą wiadomość od Eli wywołuje zamęt w myślach Jadwigi.

Podejmuje list i zagłębia się w nim ponownie. Tak, Ela wyraźnie donosi, że wraz z mężem powraca do N, gdzie został on urzędowo przeniesiony. „Znowu więc będziemy razem. Jakże się z tego cieszę" — pisze Ela. Wrócą nasze dawne chwile. Nie, Alina się myli. One nie wrócą nigdy. Istnieje przecież tamten — jej mąż, który uniemożliwił wszystko — myśli Jadwiga. Lecz i tak będzie to szczęście nieoczekiwane mieć Elę tak blisko, niemal codziennie przy sobie.

Przez cały następny dzień Jadwiga jest podniecona. Z radością czyni przygotowania na przyjęcie gości. Ciekawa jest wyglądu i zmian zaszłych w Eli jak też i jej męża. Zbiegiem okoliczności nie poznała go dotychczas. Zaręczyny i ślub Eli nastąpiły bowiem podczas jej kilkudniowego pobytu u rodziców, w czasie gdy Jadwiga leżała ze złamaną nogą w szpitalu.

W oznaczonej godzinie rozlega się punktualnie dzwonek u drzwi wejściowych a zaraz potem Ela porywa Jadwigę w objęcia. Zarzuca ją z właściwą sobie żywością potokiem słów. A to — pozwól — mój mąż Andrzej — mówi nareszcie, oswabadzając ją z uścisku. Jadwiga czuje złożony na dłoni pocałunek, a znad niej dwoje szafirowych oczu wnika w jej źrenice głębokim badawczym spojrzeniem. I pod nim dziwnie uderza serce Jadwigi. Twarz jej pokrywa się bladością.

Andrzej bardzo pragnął cię poznać — tyle mu opowiadałam o tobie — szczebioce tymczasem Ela.

Oby nie przyszło rozczarowanie — sili się Jadwiga żartobliwie dostosować do tonu przyjaciółki, by pokryć niezrozumiałe dla siebie zmieszanie. Chodźcie proszę dalej.

Podczas herbaty toczy się ożywiona pogawędka. Przyjaciółki tyle mają sobie do opowiedzenia. Jadwiga często czuje na sobie wzrok Andrzeja — i ona również zatrzymuje swój często na wysokim, myślącym czole i źrenicach o uderzającym wyrazie prawości i szlachetności nieprzeciętnej. Uprzedzenie do niego rozwiewa się jak mgła. Jadwigi nic dziwi już wybór Eli.

W pewnej chwili Andrzej podnosi się z krzesła. Zostawię teraz panie same — mówi z uśmiechem — będziecie swobodniejsze. Załatwię kilka spraw na mieście i wrócę po ciebie za jakie dwie godziny — zwraca się do żony.

Ela przyjmuje jego decyzję z życzliwą aprobatą, Jadwiga z poczuciem ulgi.

Po jego wyjściu pociąga przyjaciółkę na kanapkę w rogu pokoju. Zapala stojącą przy niej pod abażurem lampę, gasi główne światło. Wytworzony nastrój zachęca do zwierzeń. „Teraz powiedz mi Kochana, — ujmuje dłonie Eli — to co najważniejsze. Jesteś szczęśliwą — prawda?

T-a-k — zagadnięta pochyla głowę — o ile nią można być na tym świecie.

O! to coś nowego — taka filozofia u ciebie. — Jadwiga wyczuwa pewne

wahanie w głosie Eli. Więc... czegoś... brak?

Cóż ci powiedzieć — Andrzej jest ideałem człowieka — ale...

Ale? powiedz mi szczerze.

Widzisz — ja go właściwie dobrze nie znałam. Poniekąd wyswatano nas — porwał mnie przy tym urodą. A jako mąż ma tak poważne poglądy na życie...

Za głębokie dla ciebie — myśli Jadwiga — Nie rozumiesz go. Patrzy na złote loki Eli, na jej karminem powleczone usta... Zawsze miała skłonność do lekkomyślności.

Rozmowa nie toczy się już w dawniejszej atmosferze przyjacielskiej ufności. Ciąży na niej pewien przymus, który męczy Jadwigę. Ze smutkiem uświadamia sobie, że rozłąka duchowo oddaliła je od siebie. Przy tym w samotności ona tak bardzo dojrzała. Niemal z przykrością słucha dalszych, w stosunku do męża zarzutów Eli. Wie, że są niesłuszne.

Kiedy po odejściu Andrzejów zostaje sama, zastanawia się nad tym, jak też teraz ułoży się dalsze z nią współżycie. Jakiś smutek zadumą osiada na jej czole. Zmienność kolei tego świata, nietrwałość uczuć nasuwają się jej z dotkliwą, bolesną świadomością.

W Nim Jednym tylko — klęka do wieczornego pacierza i podnosi wzrok ku wiszącemu na ścianie obrazowi, na którym Zbawiciel błogosławiąco wyciąga dłoń — w Nim jednym wszystko jest niezmienne — miłością i ukojeniem. O Chryste! — Spomiędzy przysłaniających oczu spływają ciche, przez Niego tylko zrozumiałe łzy.

— — — — — — — —

Jadwiga już teraz wie — jasno zdaje sobie sprawę. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Kilka tygodni spędzanych w towarzystwie Andrzejów utwierdza ją w tym przekonaniu. Serce jej z coraz większą siłą wyrywa się do tego, szlachetnego, zawiedzionego w swych nadziejach człowieka. I z właściwą sobie niezawodną intuicją Jadwiga wie też, że uczucia jej nie pozostają bez wzajemności. Radość z jej widoku w tych ślicznych szafirowych oczach, serdeczny ton głosu, poszukiwanie jej towarzystwa, długie przyjacielskie rozmowy, do których Ela nie ma dostępu... Tak Jadwiga wie z całą pewnością.

I nadchodzi dzień, gdy Andrzej w jednej z takich rozmów wspomina zupełnie ogólnikowo o rozwodach — chce poznać jej pogląd na tę sprawę. Jadwiga wewnętrznie drży. Z jego strony to słabość chwilowa — jeśli jednak ona zechce z niej skorzystać... to może... Serce rwie się do szczęścia... tylko wyciągnąć rękę... Szczęście? Z podeptaniem praw Bożych — złamaniem życia przyjaciółki?

Jadwiga sama przed sobą szuka ratunku. W klęczącej przed krucyfiksem w kościele, dalej szaleje burza uczuć. Wielkopostne nabożeństwo dobiega do końca. Na ambonę wstępuje kaznodzieja. Zwolna jego słowa dochodzą do świadomości Jadwigi. Nawiązując do obietnicy Chrystusa „Błogosławieni, którzy płaczą" mówi o wartości cierpienia.

„Marność nad marnościami i wszystko marność — rozwija się zakończenie jego kazania w długim, bardzo długim rozmyślaniu w umyśle Jadwigi, gdy w opustoszałym już kościele przed Ukrzyżowanym, na splecione dłonie coraz niżej pochyla głowę...

— — — — — — — —

W kika miesięcy potem, po odbytych świeżo obłóczynach, nowicjuszka Siostra Róża od Ran Pana Jezusa, klęczy u kraty swej celi podnosząc rozbłysłe rozradowaniem oczy w roziskrzone gwiazdami niebo.

Dzięki Ci Ojcze — szepcze z przejęciem — poprzez wzburzone fale życia dałeś mi zrozumienie i przywiodłeś do Celu. Tyś jest drogą, prawdą i żywotem. Błogosław mi Panie!

M. Jelińska

Przeczytaj uważnie ogłoszenie na stronie 32



ŻYCIE KATOLICKIE



* Dnia 6 lutego Ojciec św. przyjął na specjalnej audiencji wszystkich kaznodziejów Wielkopostnych dla Rzymu. Na audiencji zachęcił ich do tego, by w swoich kazaniach starali się pociągać wszystkich do Chrystusa. Podkreślał wielką odpowiedzialność i wielki wpływ, jaki mogą wywierać na życie słuchaczy ich kazań. Na zakończenie audiencji udzielił im ojcowskiego błogosławieństwa.

* W niedzielę dnia 18 lutego w bazylice św. Piotra odbyła się uroczystość beatyfikacji Alberyka Crescitelli. Nowy Błogosławiony urodził się w Altavilla Irpina we Włoszech. W siedemnastym roku życia wstąpił do Seminarium misyjnego. Na kapłana został wyświęcony w 1887 r. Niedługo po swych święceniach udał się na misje do Chin. Pracował tam z nadzwyczajnym oddaniem się i poświęceniem dla tamtejszych dusz. W 1900 r. dnia 21 lipca poniósł tam śmierć męczeńską za wiarę.

* Przygotowania do beatyfikacji Piusa X postępują szybko naprzód. Dnia 4 marca odczytano dekrety Kongregacji Obrzędów. Orzeczono, że po przeprowadzeniu kanonicznego badania jego pism, heroiczności cnót i cudów zdziałanych za jego wstawiennictwem można obecnie przystąpić do ostatecznych przygotowań beatyfikacyjnych. Beatyfikacja jest przewidywana na maj i ma się odbyć niezwykle uroczyście.

* W Krakowie dnia 12 stycznia w kaplicy domowej Jego Emin. kardynała Adama Sapiehy został ukończony proces informacyjny o beatyfikacje Sługi Bożej Angeli Truszkowskiej, Założycielki Sióstr Felicjanek.

W tym samym dniu w Warszawie J. Eksc. Prymas Stefan Wyszyński ukończył proces informacyjny o beatyfikację O. Honorata Koźmińskiego, Współfundatora Felicjanek.

* Dnia 13 lutego br. zmarł w Częstochowie tamtejszy Biskup-Ordynariusz Teodor Kubina. Dnia 16 lutego, w piątek odbyło się przeniesienie zwłok Biskupa Kubiny z Kurii do Katedry. W katedrze odśpiewano przy tym nieszpory żałobne. Następnego dnia rano odśpiewano jutrznię za zmarłych, następnie J. E. Stefan Wyszyński, Prymas Polski odprawił pontyfikalną Mszę św. żałobną. Po mszy św. odbyło się pochowanie doczesnych szczątek w podziemiach katedry. W pogrzebie brało udział 26 biskupów, trzech infułatów, liczne duchowieństwo świeckie i zakonno oraz rzesze wiernych.

Konsekracja i ingres nowego Biskupa odbył się 2 lutego 1926 r. Konsekratorem był J. Em. kardynał Sapieha, Współkonsekratorami byli kardynał Hlond i J. Eksc. biskup Zygmunt Łoziński. Przed nowokonsekrowanym Biskupem stanęły wielkie zadania do wykonania. Wszak stanął w nowopowstałej diecezji. Miał ją dopiero właściwie tworzyć i organizować. Za jedno z najważniejszych zadań uważał stworzenie odpowiedniego Seminarium Duchownego. Otworzył je w Krakowie, gdzie alumni mogli chodzić na wykłady uniwersyteckie.

Za jego rządów diecezją wzniesiono 31 nowych kościołów, 26 kościołów prowizorycznych, 6 wykończono już uprzednio zaczętych. Utworzono 41 nowych parafii. Biskup Kubina był niezmordowany w pracy. Działał również wiele na polu literackim.

Śp. Ks. Biskup Teodor Kubina urodził się 16 kwietnia 1880 r. w Świętochłowicach na Śląsku. Swe studia filozoficzne i teologiczne odbywa w Rzymie. Święcenia kapłańskie otrzymuje dnia 27. X. 1906 r. Nominacja na biskupa zastaje go na stanowisku proboszcza kościoła Mariackiego w Katowicach.

Do P. T. Prenumeratorów „Pod Opieką św. Józefa"

Począwszy od pierwszego numeru 1951 r. wysyłkę, kolportaż i zamówienia prenumeraty naszego miesięcznika prowadzi PAŃSTWOWE PRZEDSIĘBIORSTWO KOLPORTAŻU „R U C H", Oddział w Krakowie.

Wszyscy, którzy pragną nadal otrzymywać miesięcznik „Pod Opieką św. Józefa" winni:

a) opłacić prenumeratę z góry (można opłacić za 1 miesiąc — 1,50 zł, za kwartał — 4,50 zł, za półrocze — 9,— zł, za cały rok — 18,— zł. Administracja zastrzega sobie w razie konieczności prawo zmiany wysokości prenumeraty.

b) Prenumerata musi być opłacona najdalej do 20-go poprzedniego miesiąca. Jeśli zatem ktoś chce np. otrzymać miesięcznik za maj, musi dokonać opłatę przed 20-tym kwietnia.

Wpłaty prenumeraty należy dokonywać tylko na konto: *PKO Kraków* 1-9451/110 — Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „RUCH", Oddział w Krakowie — Dział Prenumeraty Pocztowej Kraków — Wydawnictwo Religijne i Naukowe.

Na odwrotnej stronie czeku należy *koniecznie* napisać tytuł miesięcznika (Pod Opieką św. Józefa) i okres prenumeraty.

Wszelkie zamówienia na miesięcznik oraz reklamacje należy kierować na adres:

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „RUCH" — Kraków, Lubicz 42.
Wszystkie zaś zaległe wpłaty za miesięczniki pobrane do numeru grudniowego 1950 r. za książki, stypendia na fundusz wydawniczy itp. należy przekazywać *jak dotychczas* na konto PKO Kraków IV-842/115 — Wydawnictwo Głosu Karmelu — OO. Karmelici Bosi Kraków.

Również zamówienia na książki należy kierować jak dotychczas: **Wydawnictwo** Ojców Karmelitów Bosych, Kraków, Rakowicka 18.

Wszystkie sprawy redakcyjne (np. artykuły, recenzje, fotografie itp.) prosimy kierować jak dotychczas na adres: Redakcja Pod Opieką św. Józefa Kraków, ul. Rakowicka 18.

UWAGA:

Księża Proboszczowie, Klasztory, Kioski Parafialne itp. będą nadal otrzymywać rabat jak dotychczas. Należność za pobrane miesięczniki muszą oni wyrównać w przeciągu miesiąca od otrzymania miesięcznika. Niezapłacenie w tym terminie powoduje bezwzględne wstrzymanie dalszej wysyłki.

Zwroty miesięczników nie będą przyjmowane.

Ilość zamówionych miesięczników nie podlega żadnemu ograniczeniu.

Streszczając powyższe wyjaśniamy, że na adres P. P. K. RUCH należy kierować tylko sprawy związane z prenumeratą miesięcznika, inne zaś na adres Wydawnictwa.

Administracja Wydawnictwa odpowiadać będzie tylko na te listy, w których będzie załączony znaczek na odpowiedź.

Ważne ogłoszenie dla P.T. Prenumeratorów „Głosu Karmelu"

Zawiadamiamy uprzejmie, że miesięcznik „GŁOS KARMELU" będzie się nadal ukazywał i dostarczany będzie P. T. Czytelnikom przez Państwowe Przedsiębiorstwo „Ruch". Za rok 1951 ukaże się dwanaście numerów „Głosu Karmelu". Prenumeratę należy opłacać za pół roku lub za cały rok. Wykluczone są wpłaty za kwartał. Cena jednego numeru wynosi 2 zł, a zatem prenumerata półroczna wynosić będzie 12 zł, roczna 24 zł.

Każdy, kto pragnie otrzymać „Głos Karmelu", musi koniecznie wpłacić powyższą kwotę z góry przynajmniej za pół roku, najdalej do 20 czerwca br. na konto:

PKO Kraków, Nr IV-9451/110
Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch"
Oddział w Krakowie, Dział Pren. Pocztowej
Wydawnictwo Religijne i Naukowe — Kraków

z wyraźnym zaznaczeniem: „na Głos Karmelu".

Dla ułatwienia powyższej wpłaty załączamy niniejszym opieczętowany czek, który może być użyty wyłącznie tylko na opłatę „Głosu Karmelu".

Uwagi:

1) Miesięcznik „Pod opieką św. Józefa" i „Głos Karmelu" należy zawsze oddzielnie zamawiać, opłacać itp..
2) Wszelkie artykuły do druku w „Głosie Karmelu" należy nadal przesyłać na adres:

Redakcja „Głosu Karmelu"
Kraków, ul. Rakowicka 18



TREŚĆ NUMERU

„POD OPIEKĄ Św. JÓZEFA"

Miesięcznik dla Rodzin Katolickich.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej i Zakonnej. L. 2381/51

Redaguje Kolegium

Adres Redakcji:
Redakcja „Pod Opieką św. Józefa"
Kraków
ul. Rakowicka 18

Konto:
Wydawnictwo Karmelitów Bosych
Kraków
PKO. Kraków Nr IV — 842/115.

Adres dla spraw prenumeraty:
Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu
„Ruch" Oddział w Krakowie
ul. Lubicz 42
Konto: Państwowe Przedsiębiorstwo
Kolportażu „Ruch" Kraków
Dział Prenumeraty Pocztowej
Wydawnictwo Religijne i Naukowe
PKO. Kraków Nr IV — 19451/110

Cena pojedynczego numeru 1.50 zł.

KRAKOWSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE ZAKŁAD 7 — KRAKÓW

M — 2 — 10268 140